

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Cena zł 1.—

Fok IX

Warszawa, 15 listopada 1953 r.

Nr 46 (416)

Leopold STAFF

ODCHODZĄCEGO DNIA CHWAŁA...

Odchodzącego dnia chwała codzienna
Ma siłę twórczą w widnej na błękitie
Nadziei Jutra, która jest niezmienna
I w Bogu wiecznie rozpoczyna życie.

Przygasa chwila pogodna zachodu.
Na nieskalanie czystym tle lazuru
Jedyny obłok łśni, równy od spodu,
W górze kłębiący się falą konturu,

Jak marmurowy kształt śpiącego Boga,
Który w lenistwie błękitnego znużenia,
W nieskończoności modrego rozłoga
Spoczął po sześciu żmudnych dniach Stworzenia.

Do Niego modłę się. Niedosięg nieba
I cisza zmierzchu, który wszystko złoci,
Każe mi mówić tylko to, ce trzeba,
W obliczu śmierci i Boga dobroci.

Serce pożąda li jednego kęsu
Chleba Miłości, który jest mi dany,
I dziś już słowo «Szczęście» nie ma sensu,
Kiedy o szczęściu sen jest zapomniany.

Rana od strzały w pierś, wszystkim jawna,
Czy rana w sercu, której nikt nie wyzna,
Z dawna doznane, uleczone z dawna,
Zniknęły do cna i pობladła blizna.

Jest jednak, Panie, jeszcze pamięć chwili,
Gdy nieść kazałeś coś, co spadło z ramion.
Kamień? A może pamięć już się myli?
Skrzydła? A może duch złudą omamion?

Ty wiesz, o Panie! Nie jestem subtelny,
Nie umiem włos rozszczeplić na czworo,
Ale wie duch mój, że jest nieśmiertelny
I że płomienie wieczności w nim gorą.

Trawy, którymi wiatr cichy kolebie,
Śmieją się ze mnie, widzące i zdrowe
Żem wieczność w Tobie odpychał od siebie,
Jakbym chciał duszę swą skrócić o głowę.

Wszystko się śmieje ze mnie, że Twą chwałę
Pragnąc poniżyć, rozwiąć w ulud dymie,
Pisałem z głupią pychą przez b małe
Wielkie, potężne Twoje, Boga, imię.

Szukałem Ciebie w chmurach, na niebiosach
I na tej niskiej, pełnej grobów glebie
I dzisiaj widzę w radosnych łez rosach,
Że Bóg był bliższy mnie niż ja sam siebie.

I wiem to jedno, że gdy mnie ułożą
Na sen wieczysty, żmudnego pielgrzyma,
Natenczas ujrzę wieczną światłość Bożą
Zamkniętymi na wieki oczyma.

(Z tomu „Ucho igielne“)

WOLNOŚĆ

Ciasno mi, Panie, na kolumnie
Pychy samotnej, gdzie, choć stoję,
Trwam sztywny, jakbym leżał w trumnie
I są spętane ruchy moje.

Wolności pragnę ponad wszystko!
Daj mi szerokie pole kołem,
Bym mógł przed Tobą klękać nisko
I jeszcze niżej hold bić czołem.

(Z tomu „Wysokie drzewa“)

Stefan LICHANŃSKI

LIRYKA RELIGIJNA STAFFA

„Dla człowieka o uczuciowości religijnej — pisze Novalis — wszystko może się stać objawieniem Boskości“. Ten aforyzm autora „Hymnów do nocy“ przypomina się często podczas lektury wierszy Staffa. Nie chodzi tu nawet o wiersze o tematyce religijnej. Również w lirykach opisowych, miłosnych, refleksyjnych znajdujemy zwroty, metafory, czasem nawet będące pointą wiersza, które wprowadzając do utworu motyw religijny poszerzają jego zawartość znaczeniową, wydłużają łańcuch kojarzeń emocjonalnych i pojęciowych poza sferę bytu zamkniętą ściśle w granicach doczesności. „Noc... składa... komunie rosy w usta sennych róż“, „I znów na chwilę ziemia... łśni wśród gwiazd, jak najczystsza z Chrystusowych łez“, „Anielski chleb ciszy“, „Pochwalona wieś dobra, wóz, konie i grabie“. „Z mojego chleba kto je, ukoi głód“, „Księżyc złoty, opiekun czy, jak błogosławieństwo“. Metafora afirmująca świat, akceptująca jego urzekające piękno, akcentuje zarazem jego boskość, urodę ziemi ukazując w perspektywie wieczności.

Słowa poety:

Trzymam się lewą ręką ziemi,
Trzymam się prawą ręką nieba

są charakterystyką nie tylko postawy ideowej pisarza, ale również właściwego mu typu psychicznego. Kiedy w wierszu „Modlitwa“ („Wysokie drzewa“) mówi o modlitwie, że jest jak

bochen chleba,

Dobytym trudem z czarnej ziemi,
to tej metaforycznej „somatyzacji“ przeżycia duchowego w pierwszej zwrotce utworu odpowiada — jako jej pendant — „spirytualizacja“ przeżycia fizycznego opisanego w drugiej:

I z rąk mych własnych, gdy tak stoję,
Zstępuje na mnie łaska żywa
Z krwią, która z ramion w pierś mi wpływa
I pełnią darzy serce moje.

Modlitwa jako bochen chleba, wpływający do serca strumień krwi jako strumień Łaski — ta metafora bardzo jasno ukazuje charakterystyczny dla Staffa typ widzenia rzeczywistości. Właściwe temu typowi jest widzenie świata jako oszałałającego fenomenu boskości. Jest to odczucie proste i elementarne. Uzasadnienia przychodzą później, są już tylko wtórną racjonalizacją stanu wewnętrznej pewności, radszej inicjacji bezpośrednich doznań.

Jest to świadomość religijna nie-reflektowana, „czysta“ jeszcze, bo tak jak „czysta“ poezja nie nasycona określoną zawartością pojęciową,

przedogmatyczna i przedwyznaniowa, jakiś analogiczny do deizmu osiemnastowiecznych racjonalistów deizm czystego uczucia. Tu jednak tkwi zarodkowa komórka religii, tu jest dziedziina owego podstawowego

klasykistyczny umiar form wyrazu poetyckiego, „apollinizm“ jego wyobraźni. Wyobraźnia ta, którą określił kiedyś Wasilewski jako „wyobraźnię intelektualną“, nie poprzestaje na chaosie niedokształtowanych

wizji i beładnych skojarzeń, jak np. wyobraźnia Micińskiego, ale oczyszcza i organizując surowiec poetycki doznaj buduje z niego konkretyzacje artystyczne klarowne i harmonijne, przeświecone jasnością pracującego w pełnym świetle dziennym intelektu.

Co najbardziej uderza przy zgoła nawet powierzchownym rozejrzeniu się w liryce religijnej Staffa, to niesłychanie szeroka skala przeżyć i zagadnień przez nią objętych. W jej krąg wchodzi zagadnienia bytu narodowego, społeczne, moralne, filozoficzne. Jest to zupełnie zrozumiałe: przy religijnym zasadniczo przeżywaniu świata każdy fakt i każde zagadnienie musi ostatecznie wejść w orbitę zasadniczej relacji: Bóg — człowiek.

Ta podstawowa relacja ulega jednak bardzo różnorodnym modyfikacjom: wyraża się w niej zarówno najbardziej bezpośrednio, jak i abstrakcyjną refleksją filozoficzną, zarówno modłitew

ne uwielbienie, jak i bunt. W poezji swojej odtwarza Staffa ogromne bogactwo przeżyć religijnych. Dla psychologa religii tomiki poetyckie autora „Śnów o potędze“ stanowią materiał niezwykle cenny i frapujący. Materiał ten jest ważny dla poznania faktów indywidualnego życia religijnego, ale zarazem można analizując go dowiedzieć się sporo o związkach tego życia z problematyką epoki, o wpływie nań poruszających ówczesną umysłowość konfliktów ideowych oraz mód intelektualnych.

W młodzieńczych tomikach Staffa spotykamy się czasem z tym, co można by nazwać estetyzmem religijnym. W „Dniu duszy“ znajdujemy np. sonet „Męka“. Jest to próba zamknięcia w czternastu wierszach sonetu misterium Męki Pańskiej. Próba nader ambitna, ale w samym założeniu chybia, gdyż wielki dramat Odkupienia sprowadzony tu zostaje do roli pretekstu tematycznego, a do roli zagadnienia centralnego urasta kwestia technicznej wirtuozerii, która posługując się specyficznym poetyckim językiem chce zaimponować nam maksymalną lapidarnością wyrazu, precyzją konstrukcji mającej z drobnych napomknęć i aluzji zbudować pełny, przekonujący obraz męki Chrystusa. Obraz ten wypada błado i konwencjonalnie. Zawartość treściowa rozplywa się w mgłę;

(Dokończenie na str. 2)



Leopold Staff

LIRYKA RELIGIJNA STAFFA

nie wiemy np. czy Chrystus z tego sonetu to Chrystus Ewangelistów czy raczej — Renana? Jedyne wrażenie pełne i całkowite, jakie zostaje po lekturze „Meki”, to wrażenie ryzykownego efekciarstwa literackiego.

Jeżeli temu sonetowi poświęciliśmy tyle uwagi, to jedynie dlatego, że jest on pewnym zjawiskiem granicznym: jest to utwór, w którym materiału do obróbki literackiej dostarcza „czyśte” uczucie religijne, „czysta forma” doznania religijnego, nie obciążona „balastem” problematyki. Utwór tego typu ważne są dla nas o tyle, że świadczą one, iż wyobrażenia poety jest uczulona na inspiracje z kregu spraw wiary, choćby nawet były to inspiracje czysto estetyczne. I kiedy Staff nie próbuje dorabiać sztucznych pogłębień do tego rodzaju wątków tematycznych, a przeciwnie: podkreśla w nich element legendowości i stylizacji, tworzy pełne wdzięku i balladowego uroku obrazki poetyckie, jak np. „Matka Jagodna” z tomu „Ptakom niebieskim”.

Próby pogłębienia liryki religijnej, sprowadzania jej wiązki się u Staffa z wejściem w krąg działania diametralnie sprzecznych ze sobą postaw ideowych: nietscheizmu i ewangelicznego chrześcijaństwa z „Kwiatków świętego Franciszka”. Obie te postawy zostają zresztą w ich poetyckiej konkretyzacji zestygowane, przyjęte bez pełnego zaangażowania się w którąkolwiek z nich. Uliyczny franciszkanizm znajduje najpełniejszy swój wyraz w cyklu „Pił z szat pielgrzyma”, przemieniając się w ideologię „zbawczej uludy”, w inspirację ślepankowej baśni o „nauczyciela pogodnym”, oplatającym „krzew marzeń w tęsknoty powoje”. Z nietscheańskich natchnień rodzi się pojmowanie wiary jako nakazu nieustraszonego heroizmu postawy moralnej: „Bo, najmniej, co nam wolno uczynić jest: Więcej” („Falanga tragiczna”, z najbardziej „nietscheańskiego” tomu: „W cieniu miecza”).

Trzecim nauczycielem Staffa staje się w tym okresie Marek Aureliusz, cesarz-filozof, mędrzec-stoik. Dla twórczości Staffa sprzed roku 1914 ten właśnie wpływ myśli stoickiej i stoickiej postawy moralnej okazał się najbardziej istotny i płodny. Jest to zresztą zupełnie zrozumiałe: nietscheizm i franciszkanizm są w gruncie rzeczy „dionizyjskie”, pokarm stałowi gra nasilonej do pasji emocjonalności, stoicyzm zaś jest z natury „apollinijski”, jasny, opanowany, trzeźwy, mocno trzymający uczucia w karbach myśli — i dlatego też musiał być bliższy Staffowi. Role liryczne

Dokończenie ze str. 1

„nauczyciela pogodnego” czy herosa z „Falangi tragicznej” są wyraźnie przastyżowane. O ile lepiej czuje się Staff w roli mędrca z ateńskiej Stoi:

Mnie nie trwożyć nie może,
bo nie zawisło od Losu
Szczęście meża, gdyż nie jest
złem, czego złem nie nazwałem
i nie zniszczyć nie może,
prócz mnie, mej władzy nad
sobą,
Bym wielkoduszny był, mądry,
czysty, pogodny i wolny,
Lęku nie znał ni gniewu,
a uśmiech z ust mych nie
schodzi...
(„Stoa”)

Rolę tę przyjmuje zresztą poeta jako formułę określającą własnej indywidualności twórczej:

I pochwalam Tajń życia w pieśni
i w milczeniu,
Pogodny mądrym smutkiem
i wprawny w cierpieniu.
(„Przedśpiew”)

Religia jako „zbawcza uluda”, religia jako szkoła heroizmu, religia jako zwornik systemu filozoficznego wyjaśniającego cały świat, uczącego spokoju i mądrej rezygnacji... W każdej z tych formuł odnajdujemy utajoną przesłankę myślenia typowo praktycznego: religia jest prawdziwa, ponieważ jest potrzebna. I ten właśnie sceptyczny pragmatyzm stał fowski decyduje, że mimo obfitości wątków i motywów religijnych, liryka religijna we wczesnych tomach Staffa — od „Słów o potędze”, aż po „Lubędzia i Lira” — rzadko kiedy przemawia pełnym głosem, konkretyzuje się w osiągnięcia o naprawdę wielkim walorze artystycznym.

Najczęściej zdarza się to wtedy, kiedy spoza desenia wirtuozowskich stylizacji i na chłodno budowanych abstrakcyjnych koncepcji przedrze się i wypowie wprost owa omawiana powyżej religijna uczuciowość poety. Porywa ona wtedy i unosi z sobą elementy franciszkańskie, nietscheańskie, stoickie, by stopić je razem w syntezę — nie pojęciową, lecz integralnie poetycką — w utworach takich, jak np. „Grób w sercu” z tomu „Gala kwitnąca” lub sonety z umieszczonych w tym tomie cyklów „Legenda o szczęściu” i „Radość życia” (jak choćby „Początek bajki”, „Mil-

czenie”, „Prośba o skrzydła”, „Wyżeczenie”, „Ufność”).

Wyjście poza estetyzm przynosi poecie zetknięcie się z problematą krzywdy ludzkiej. W ten krąg zagadnień wchodzi Staff tryptykiem lirycznym „Modlitwa” („Ptakom niebieskim”), a następnie w cyklu „Charitas” („Uśmiechy godzin”), zawierającym między innymi głośny niegdys wiersz „Krysta spod płotu”. Bluznierze akcenty zawarte w tym wierszu tkwią zbyt mocno w stylu epoki, by można je uważać za wyraz istotnie własnych poglądów poety. Nigdy już zresztą nie próbował Staff kontynuować tego typu poezji. „Lucyferizm” jego wyładował się w tym jednym wybuchu, jakże bladym i nikłym wobec hymnicznego patosu buntów Kasprowicza. To, co najbardziej przemawia z tych wierszy, to bliski raczej Żeromskiemu ton głębokiego współczucia z nieszczęściem i cierpieniem bliźniego:

Za tych wyklętych, spodzonych
wyrzutków,
Których pięść krzywdy w twarz
bije znucacka,
Niechaj brzmi dziłkim wyrzutem
pieśń smutków,
Modlitwa moja, jak krzywdą,
prostacka!
(„Jęk wyklętych zaułków”)

Z patosu współczucia wyrasta poczucie współodpowiedzialności za los człowieka, protest przeciw moralnemu faryzeizmowi, dbałem jedynie o zachowanie zewnętrznych form „porządności” i „prawomyślności”:

Kto zawsze spełniał tylko obowiązek,
Ten obowiązku nie spełnił człowieka.
(„Skazaniec mówi”)

Utwory te, przeładowane retoryką i bezpośrednią deklaratywnością, ważną są z tego względu, że stanowią początek owej linii rozwojowej, która przez „Tęczę łez i krwi” oraz „Ścieżki polne” wiedzie do tego typu liryki religijnej, która najpełniejszy swój wyraz znalazła w „Uchu igielnym”. Kontakt z człowiekiem, z jego niedolą i nędzą, z jego pracą i szarym, codziennym życiem nasycy poezję Staffa konkretem realnie przeżywanego rzeczywistości, uwalnia od przerosłów estetyzmu.

„Ucho igielne” nie było bynajmniej jakimś zaskakującym, radykalnym zwrotem w twórczości Staffa; motyw dominujący w tym tonie przewijał się już przez wcześniejszą jego twórczość, teraz jednak wyodrębnił się one, nabrały większej wyrazistości i sugestyjności. Pewien etap poszukiwań i zwątpień prób i walk zamknął się definitywnie:

Z wielką ufnością i spokojem
Serce me w Tobie odpoczywa,
Jako dłoń w dłoni przyjaciela.

Chrystus z „Ucha igielnego” nie jest już alegorycznym Chrystusem z poematu „Pod krzyżem” („W cieniu miecza”), zawierającym alegoryczne przymierze z alegorycznym Dionizesem, nie jest symbolem odrzuconej przez ludzką ideę dobra i miłości z wiersza „Dzień dzisiejszy” („Ptakom niebieskim”), ani skazanym na nieunikloną klęskę człowiekiem-bohaterem ze „Zwiastowania” („Lubędź i Lira”), którego wielkość jedynie na tym polega, że „najszczytniejszą z ofiar jest — próżna”. Ten Chrystus — to konkretna, realna Osoba — prawdziwy Syn Boży, zrodzony z Dziewicy, odkupujący śmiercią na krzyżu grzechy świata. Przedmiotem opowieści dzianych w tej książce doświadczeń religijnych jest już nie poszukiwanie rozsiąanych po świecie znaków jego boskości, ale obcowanie z samą Boskością:

Cóż to wielkiego, Magowie ze
Wschodu,
Żeście odkryli, po roku podróży,
Pana na sianie, między bydłem,
gnojem,
Gdy ja, bez gwiazdy szeregowej
przewodu,
Znalazłem Boga — błądząc
le dłużej —
W jeszcze podlejszej stajni:
w sercu swoim.

Poezja „Ucha igielnego” jest poezją pełnej świadomości religijnej, nie szukającej już, nie przeczuwającej,

55 LAT TWÓRCZOŚCI

Z fantazyją, z rozruchanem szalenstwem junaczem
W pogardzie niebezpieczeństw drwiącej rzucam kości
Z przeznaczeniem mem, chytrym i fałszywym graczem,
O cale moje życie, o los mej przyszłości.

BYŁ rok 1901. Wydarzenie literackie: zaczęła wychodzić „Chimera”. Wśród sonetów styczniowego zeszytu jest i „Gra”, która niebawem wejdzie do wcale pokaznego tomu wierszy. Już w następnym numerze Miriamowego miesięcznika znaleźć można recenzję. Przegląd nowych poezji dokonuje sam redaktor. „Rzeźwiące, krzepkie wrażenie — czytamy — robią „Sny o potędze” L. Staffa i, jako pierwszą książką młodego poety, wiele o jego przyszłości wnioskować każą. Śmiało to i bogacz melada, a przy tym dziwnie władający sobą, świadomy i wytrwały. Dotarł aż do dna wnętrza swego, odkrył tam „całą bezkształtną masę kruszców arogocennych”, a odkrywając nie zaczął rozrzucać się nad sobą, przeciwstawić się innym, lecz poczuł, że mu „wykonać trzeba dzieło wielkie, pilne”, wykuć sobie z tych kruszców duszę, serce, całą osobowość odrębną”.

Niejednokrotnie mamy dziś prawo nie dowierzać nawet wybrednej „Chimery”. Ale tym razem wiemy na pewno: nie przesadził Miriam; sąd jego miał z latami zyskać jeszcze na słuszności.

Przyszedł rok 1945. W sierpniu ukazała się „Twórczość”. Pierwszy tekst literacki — to piękny wiersz bez tytułu. Poeta wspomina „przeszłe lata” —

...Kiedy chadzałem w szatach burzy

I żeglowałem do Kolchidy.

Dzikię porywy i zapędy,

Zuchwałość butna i wyniosła...

Wreszcie manowce, winy, błędy —

I polamane leżą wiosła.

W ruinach pajęk sieci snuje,

Czas każe płacić wiosny drugi.

Lecz nie żałuję, nie żałuję

I wszystko spełniłbym raz drugi.

Na ogół wolno nie ufać tego rodzaju — zwłaszcza poetyckim — stwierdzeniom. Ale gdy mówią to Leopold Staff — wiemy na pewno, że tak i tylko tak powinny brzmieć te strofy.

„...Wszystko spełniłbym raz drugi”. Łącznie z przebogatym dorobkiem przekładowym i edytorskim — niemal dwieście pozycji bibliograficznych, w czym przeszło osiemdziesiąt polskich wydań utworów Poety. Cyfry niekiedy muszą sąsiadować z cytowanymi literackimi. Cóż dobitniej niż to świadectwo niebywałego a powszechnego zapotrzebowania na Jego poezję oddaje Jubilatowi należną sprawiedliwość?

Jesienny — oby nie deszczowy, oby słoneczny — dzień 14 listopada, siedemdziesiąta piąta rocznica urodzin Leopolda Staffa, staje się wielkim świętem kultury polskiej. Źródłem najgłębszej radości jest fakt, że jubileusz ten nie ma w sobie nic z jakiegokolwiek ostatecznego podsumowania działalności Znakomitego Twórcy. Przeciwnie — jest uwieńczony literackim dokonaniem o wymowie wspaniałego symbolu: przekładem łacińskich elegii Kochanowskiego. — Wkrótce ma się ukazać i nowy tom wierszy autora „Barwy miodu”. Zamiast słów holdu można tedy przesłać Czcigodnemu Jubilatowi własne Jego porównanie:

Przeszłość jak ogród zacczarowany,

Przyszłość jak pełna owoców misa.

ale stwierdzającej w konkretnym akcie wiedzy słuszność i racjonalność swojej wiary:

Kto szuka Cię, już znalazł Ciebie;
Już Cię ma, komu Ciebie trzeba;
Kto tęskni w niebo Twe, jest
w niebie;
Kto głodny go, je z Twego chleba.

Przytoczona strofa maluje stan duszy, który psycholog religii Rudolf Otto określa jako „fascynację”. Z natury rzeczy „fascynacja” nie może być długotrwała i tak samo poezja nie może wciąż rozbrzmiewać tonem ekstatycznego uniesienia. Nie to jest

Stefan Lichański

Mikołaj Bieszczadowski

LEOPOLD STAFF

Kraju łagodnych barw
dogasających jesieni
Kraju słów spływających
mlekiem dojrzałej wiedzy.

Dzień się ścięło jak śpiew
uwieżył w ciepłym cieniu
Noc pouraca do gwiazd
i błogostawia miodom.

Poezjo wysokich drzew
pachnąca miodem poezjo
Krokiem pogodnych stroj
przeciągasz nad polszczyznę.

Sierpniowe święta pszczoł — deszcze żyźne
od srebrniejszych pól
czysty śpiew.

Poeta kochał czas
jakby był instrumentem
I potoczył się hymn
modrą i struną strugą

Niepokonany świat
wuiódł niby chorał dźwięczny
Do serc najmłodszych dni
jak przez igielne ucho.

Wojciech KETRZYŃSKI

KOŚCIÓŁ A POLITYKA

KATOLICYZM prawdziwy jest katolicyzmem trudnym. Jest przeciwieństwem, czasem naiwnego, ale znacznie częściej sekciarskiego po bożnictwa, jest również przeciwieństwem piękno duchowego, zamkniętego w sobie kwiatyżmu. Katolicyzm głęboki wymaga, by patrzeć w twarz problemom, jakie stawia nasza religia świat współczesny, wymaga przede wszystkim wiary jednocześnie żarliwej i jednocześnie głęboko przemyślanej. Nie pozwala na uproszczenia, na przemilczenie, na nadrabianie gorliwością czy uczuciowymi reakcjami braku so lidnie przemysłanych podstaw filozoficznych naszego światopoglądu. Katolicyzm głębi wymaga od każdego, oczywiście w ramach jego możliwości intelektualnych, dokładnej znajomości ci nauki Kościoła, Jego zasad i Jego przepisów.

Jeśli spotykamy się tak często w środowiskach typowo katolickich ze skłonnościami do postawy społecznej chronicznie reakcyjnej, to wśród wielu okoliczności do tego prowadzących niemałą tu rolę odgrywa brak rzeczywistego pogłębienia swej własnej wiary. Wówczas te trudne i nowe problemy, stawiane naszemu sumieniu przez współczesność, skłaniają łatwo do wniosku — iż dla spokoju sumienia najszlachetniejszą jest odrzucenie współczesności, uznać ją za integralnie złą i przestać się kłopotać zagadnieniami, jakie się przed nami pojawiają. Do trudnych problemów, jakie nam, katolikom, narzuca współczesność, należy bez wątpienia zagadnienie naszego stosunku do autorytetu Stolicy Świętej, do autorytetu Ojca Świętego.

Jesteśmy świadkami częstych polemik prasowych, atakujących ostro, nieraz gwałtownie stanowisko Watykanu, czyli Kurii Rzymskiej. Polemiki te, prowadzone ze stanowisk światopoglądowych innych niż katolickie, nie uwzględniają czynnika nadprzyrodzonego w działalności Kościoła Katolickiego, kwestionują raz po raz słuszność stanowisk papieskich, zarówno współczesnych, jak i historycznych.

Dostrzegamy w tych polemikach wiele nieporozumień wynikających z różnicy stanowisk światopoglądowych, dostrzegamy momenty przesady i jednostronności powodowane zbytym zacietrzewieniem polemistów. Jako katolicy — w żadnym razie nie możemy przyjąć za piaszczyną dyskusji stwierdzenia, iż wszelkie wystąpienia Stolicy Apostolskiej dotyczące spraw społecznych, politycznych czy kulturalnych były w ciągu ostatnich wieków zawsze błędne i obiektywnie szkodliwe. Postawa taka kwestionowałaby sam sens naszej wiary w nadprzyrodzoną misję Ojca Świętego, jako głowy Kościoła. Odcinając się jednak od takiego ducha krytyki, katolicy nie mają żadnego prawa zastrzeżenia argumentami prestiżowymi przed obowiązkiem uczciwego rozpatrywania każdego konkretnie sformułowanego zarzutu. Jeśli nawet zmusi nas to nieraz do dotknięcia spraw bolesnych, jeśli nawet wyrażać się nam będzie, że narusza to autorytet Kościoła — to jednak pamiętać musimy, iż nasza — czerpana z Objawienia — wiara w posłannictwo Namiestnika Chrystusowego i w świętość opierać się musi nie tylko na poczuciu wielkości Jego dzieł, ale i na świadomości źródeł Jego błędów. Każdy katolik wreszcie im więcej wkłada wysiłku w zgłębienie krytycznych dzieł Kościoła, tym bardziej powinien utwierdzać w sobie wiarę w Ducha Świętego, który strzeże dróg Kościoła wśród wszelkich ludzkich ułomności. Ta właśnie opieka zapewniona Kościołowi Katolickiemu „kierunek pozytywny, niepowstrzymany ruch naprzód, wykorzystujący wszelkie, zarówno słabości i potknięcia, jak i wewnętrzny moc oraz cnoty, który nawet w zakresie spraw omylnych podporządkowuje wszelkie decyzje Władzy Najwyższej intencjom w sposób boski, słusznym i prawdziwym” (Jacques Maritain — „Primaute du spirituel, str. 55). Takie są zasady wiary katolickiej.

POSTĘPOWA społecznie myśl katolicka w Polsce stara się od dłuższego czasu uczciwie sprostać (w szczególności w stosunku do zagadnień aktualnych) pytaniom, jakie nam stawia współczesność. Rozgraniczając jak najbardziej wyraźnie dziedzinę posuszeństwa religijnego światopoglądowej nauki Kościoła od omylnych spornych problemów, przede wszystkim politycznych, dąży ona do ustalenia świadomości katolików polskich w sposób zgodny z zasadami wiary i jednocześnie zgodny z ogólnonarodowymi interesami. W tej pracy niesposób było nieraz nieodkryć kardynalnego problemu wia-

nie oceny stanowisk zajmowanych przez Kurie Rzymską w stosunku do różnych zagadnień bieżących, z których najbardziej dla nas palącym jest zagadnienie rewizjonizmu zachodnio-niemieckiego i nienaruszalności naszej granicy na Odrze i Nysie. Wroga Polsce Ludowej kapitalistyczna propaganda na zachodzie dąży konsekwentnie do jątrzenia w kraju stosunków na odcinku religijnym, usiłując jednocześnie mobilizować na zachodzie katolicką opinię po stronie swych wojennych projektów. Jednym z ulubionych chwytów tej swoistej demagogii pseudo religijnej jest rozsiewanie pogłoski, że katolicyzm polski jest w przededniu oderwania się od Rzymu, że krytyka niektórych politycznych posunięć watykańskich przygotowuje grunt pod próbę zamienienia Kościoła Katolickiego w Polsce w jakiś „kościół narodowy”. Przy każdej sposobności najróżniejsze Madryty, Wolne Europy i Głosy Ameryki sączą ten jad w swych audycjach, licząc na głupotę ludzką jako niezastąpioną orężowniczkę wszelkich najbardziej szkodliwych plotek.

Jest rzeczą oczywistą i logiczną, że jedyni, którym na takim „kościółce narodowym” mogłoby zależeć, są właśnie ci „protektorzy katolicyzmu” z Madrytu, Bonn czy Waszyngtonu. Dałoby to bowiem świetny żer ich propagandzie; rzeczywiste zaś dobro Kościoła Katolickiego w Polsce pozostawia ich najzupełniej obojętnych!

Sądźmy więc, że warto choćby tylko po to, by ten głos i do nich dotarł, przypomnieć, że nie, dosłownie nie w Polsce nie pozwala na jakiekolwiek przypuszczenia, by w czymkolwiek zostało, czy mogło być naruszone posuszeństwo religijne i doktrynalne katolików polskich wobec Stolicy Apostolskiej i urzędu Namiestnika Chrystusowego. W imieniu ruchu katolików społecznie postępowych oświadczył ks. dr Radosz na zebraniu katolickich działaczy duchownych i świeckich w dniu 18 czerwca: „Najważniejszą sprawą dla ogółu duchowieństwa i wierzących katolików jest, aby w ustroju socjalistycznym odprawiana była Ofiara św., głoszone były zasady Wiary świętej przez kapłanów pozostających w religijnej jedności z Następcą Piotra i biskupami, aby postawa intelektualna i sumienia ludzi religijnych mogły pozostać w harmonii z powszechnymi obowiązkami obywatelskimi...”

„Wszędzie tam — stwierdzono również wówczas — gdzie przemową władza kościelna realizować będzie odrębne od naszych poglądów czy prze-widywania społeczno-polityczne, zachowamy niezależność sądu i działania i czynić to będziemy w przekonaniu, że postępujemy w myśl obiektywnego dobra instytucji władzy kościelnej”.

Na łamach „Dziś i Jutro” nasze stanowisko jasno określił Bolesław Piasecki w artykule „Dwie drogi katolicyzmu”:

„Katolikiem jest się, jeśli za fundament i sklepienie jedności Kościoła Powszechnego uznaje się każdorazowego następcę Piotra, Ojca Świętego. Katolikiem jest się, jeśli się uznaje nieomyślność Ojca Świętego, gdy przemawia *ex cathedra* w sprawach wiary i moralności. Z tych podstawowych katolickich prawd ukuło przewrotny argument przeciw walce z nadużywaniem religii na użytek potrzeb wojującego kapitalizmu. Kto odcina się, boleje, oburza i przeciwdziała zaangażowaniu się autorytetów kościelnych pośrednio albo bezpośrednio po stronie polityki zaborczej i wojennej, kto mówi, że nie wystarczy potępić kapitalizm, ale trzeba nie dopuszczać, aby religia stawała się narzędziem polityki kapitalistycznej — ten jest przedstawiony jako wróg jedności Kościoła. Kłamstwo, kłamstwo popełnione świadomie, albo nieświadomie, ale zawsze w interesie wojennej polityki amerykańskiej. Kłamstwo, zawarte w tym uproszczeniu stanowi próbę obniżenia, osłabienia dogmatu o najwyższym, nieomyślnym w sprawach wiary, moralności i jurysdykcji dostojęństwie Piotrowego Następcy”.

Oświadczenia te, jakże wymowne w ich czystości doktrynalnej i bezkompromisowej treści ideowej, zostały skwapliwie ukryte przed zachodnią opinią publiczną.

Całość poglądów księdza biskupa Kaczmarska jest, rzecz oczywista, wyrazem tylko jego osobistej postawy, i ma niewiele wspólnego z ruchem społecznie postępowym katolików polskich. Warto jednak zacytować tu fragment jego wypowiedzi, gdyż proces ten był również przez wroga propagandę cytowany, jako dowód tendencji do oderwania katolików polskich od ich religijnego związku ze Stolicą Apostolską.

W prasie zachodniej nie odważono się podać znamiennej w swej treści końcowej deklaracji księdza biskupa Kaczmarska, zawartej w jego ostatnim słowie w trakcie rozprawy sądowej: „Jako biskup pragnę stwierdzić, że w niczym nie sprzeciwia się (moje stanowisko) naszej wierze i powinności katolickiej. Odcienie się moje od polityki kół watykańskich jeszcze bardziej zbliża mnie do pasterza całego Kościoła, do Ojca Świętego. To odcienie od polityki ułatwi mi utrzymać silniejsze więzy religijne ze Stolicą Apostolską w sprawach wiary, w sprawach moralności, w sprawach dyscypliny kościelnej, które stanowią o istocie Kościoła”.

CYTOWANE tu różne wypowiedzi charakteryzują się wspólnym podkreśleniem uznanego autorytetu Stolicy Apostolskiej, przy jedno-czesnym zastrzeżeniu w stosunku do pewnych, konkretnych przejawów działalności politycznej tych samych wysokich czynników kościelnych.

Czy takie, rzecz można powiedzieć, stanowisko jest dopuszczalne i jeśli tak — jak określić dziedzinę tej politycznej działalności — oto pytania, na które nam teraz wypada odpowiedzieć.

Przypomnijmy sobie naukę Kościoła:

„Bóg rozdzielił zawiadywanie ludźmi — uczy Leon XIII w encyklice „IMMORTALE DEI” — między dwie władze — kościelną i państwową. Jednej powierzył Bóg sprawy boskie, drugiej sprawy ludzkie. Każda z nich jest w swoim rodzaju najwyższa. Jedna i druga ma zakreślone granice, których się winna trzymać. Granice te są wskazane bezpośrednio celem i naturą każdej z nich”.

W dziedzinie spraw polityki, w dziedzinie doczesnych interesów narodowych, każdy katolik, jako obywatel swego państwa posiada pełną swobodę zajmowania własnego stanowiska, posiadania własnych poglądów. Wiąże jest dla niego jedno tylko zastrzeżenie — by jego stanowisko nie było sprzeczne z głoszonymi przez Kościół zasadami moralności chrześcijańskiej. W tej dziedzinie Kościół Katolicki też zastrzega sobie prawo interweniowania w dziedzinie politycznej dla przypomnienia katolickich norm moralnych.

Tak więc katolik polski ma oczywiście prawo bronić własnej koncepcji granic między swym krajem a Niemcami, ma prawo posiadać i wyrażać własne poglądy dotyczące remilitaryzacji Niemiec zachodnich, wyborów we Włoszech, polityki „atlantyckiej”, rokowań o zawieszenie broni w Korei. Ma natomiast obojętność czuwania, by w metodach i celach swej działalności być zgodnym z obowiązującymi nas zasadami moralności. W tych też granicach może podejmować krytykę politycznych decyzji swej hierarchii kościelnej.

Przedmiotem sporu jest jednak zagadnienie, czy i w jakiej mierze Hierarchia Kościoła prowadzi rzeczywiście aktywność polityczną. Uważamy za konieczne dać na to pytanie, sięgając do przykładów historycznych, odpowiedź konkretną.

Brzmiała ona: tak, Kościół katolicki brał i bierze udział w aktywności typu politycznego. Próby zaprzeczenia temu wynikają bądź to z nieznamościami dzieł Kościoła, bądź to po prostu z nabożnej nieraz naiwności depatrującej się działalności

Kościół tylko w dziedzinie spraw duchowych, niemalże niezmiennych. Wreszcie istnieje obawa, by, przyznając się do związku z polityką, nie zaszargać opinii o świętości Kościoła Katolickiego.

Rozróżnić możemy dwojakiego rodzaju aktywność polityczną Hierarchii Kościoła: uczestnictwo Stolicy Apostolskiej w świeckiej, doczesnej polityce poprzez posiadany własny aparat dyplomatyczny oraz politykę kościelną, to znaczy posunięcia o konsekwencjach politycznych, lecz związanych bezpośrednio z rządzeniem sprawami kościelnymi.

DO roku 1870 w jednym ręku Papięza połączona była władza religijna nad całą społecznością katolicką z władzą świecką monarchii państwa kościelnego. Przez długie wieki Papięza byli więc również w pełnym tego słowa znaczeniu władcami świeckimi, oczywiście, pro wadzili swą politykę, która, jak każda inna, podlega naszej krytycznej ocenie. Tak więc Aleksander VI rozgraniczył w roku 1493 strefę panowania portugalskiego i hiszpańskiego w zdobytch obszarach Ameryki Południowej, Sykstus V zaś usilnie zalecał, a następnie gorąco popierał tragicznie zakończoną wyprawę hiszpańskiej Wielkiej Armady przeciw Anglii w roku 1588. W każdym z podobnych wypadków mamy dziś, oczywiście, pełną swobodę zajmowania stanowisk krytycznych. To samo zresztą dotyczy i okresu najnowszego, tzn. po upadku państwa kościelnego. Znana jest rola Leona XIII jako rozjemcy w sporze między Niemcami bismarkowskimi a Hiszpanią o wyspy Karoliny. Znane są również interwencje dyplomacji watykańskiej podczas pierwszej wojny światowej, za rządów Benedykta XV, czy aktywność poszczególnych nuncjatur w przededniu wybuchu wojny w sierpniu 1939 roku. I tu również każdy katolik, obeznany z wydarzeniami międzynarodowymi, ma prawo do posiadania własnego sądu o celowości i konsekwencjach poszczególnych aktów politycznych.

Patrząc z naszej katolickiej perspektywy, możemy stwierdzić, iż w olbrzymiej większości wypadków posunięciami politycznymi i dyplomatycznymi Watykanu kieruje względem na interesy katolicyzmu. Nie może my tu sobie pozwolić na zgłębianie tajników tej dyplomacji, która różnymi drogami starała się zawsze umocnić i rozszerzyć wpływ Kościoła. Należy jednak stwierdzić, iż drogi te nie zawsze okazywały się skuteczne, nieraz wręcz przeciwnie, obracały się przeciw żywotnym interesom Kościoła. Do tych należą, między innymi, różne wystąpienia papieskie dotyczące polskiej walki o niepodległość, jak słynne encykliki Grzegorza XVI podczas i po powstaniu listopadowym. Były one dyktowane bądź to nieznamościami rzeczywistego stanu rzeczy, bądź to chęcią ułożenia stosunków religijnych na całym obszarze Rosji carskiej, bez uwzględnienia we właściwy sposób polskich postulatów narodowych. W każdym z powyższych wypadków mamy prawo do własnych sądów, tak jak mamy prawo do oceny stopnia zaangażowania polityków rzymskich po stronie dworów, reakcyjnych koncepcji politycznych czy interesów klasowych.

Znaczenie bardziej skomplikowany jest sąd o polityce kościelnej w pełnym tego słowa znaczeniu. Tu, rzecz oczywista, Stolica Apostolska posiada pełne kompetencje do wytyczania drogi rozwoju Kościoła. Jednak w naszym świecie rządzi Kościół, zawiadywanie interesami religijnymi poszczególnych narodów stawia nieraz bardzo trudne do rozwiązania zagadnienia polityczne i znów pewne nastawienie polityczne może wpłynąć przemożnie na ocenę spraw religijnych. W roku 1892 Leon XIII liczącym skupiskiem emigranckim w Stanach Zjednoczonych odmówił prawa do posiadania własnego, narodo-wego duchowieństwa i hierarchii. Było to z oczywistą krzywdą dla interesów kulturalnych poszczególnych mniejszości. Było to jednak zgodne z żądaniami biskupów amerykańskich i amerykańskiego rządu. Decyzja ta bez wątpienia ułatwiła Leonowi XIII nawiązanie bliższych stosunków z rządem Stanów Zjednoczonych, ale możemy się dziś zastanawiać, czy zachowanie większego zróżnicowania kulturalnego nie byłoby dla kultury światowej o wiele korzystniejsze niż wojujący kosmopolityzm dzisiejszych Stanów Zjednoczonych.

Rząd premiera Pandith Nehru rozumie dobrze, że oznaczałoby to pchnięcie Indii na zgnębienie dla interesów narodowych drogę wykorzystywania kraju jako narzędzia agresywnych planów imperializmu światowego i doprowadziłoby do pełnego podporządkowania życia gospodarczego i politycznego obcemu kapitałowi. Dlatego proklamuje on politykę neutralności, nie rozumiejąc jej jednak bynajmniej jako całkowitej bierności i obojętności. Przeciwnie, traktując przede wszystkim Azję za domeny swych bezpośrednich zainteresowań, uważa on, że interes narodowy i racja stanu Indii wymagają nie tylko utrzymania dobrych stosunków gospodarczych i politycznych ze wszystkimi państwami, ale również — przeciwdziałania wszelkim próbom oparcia krajów azjatyckich przez imperialistów światowych. Logiczną konsekwencją tego jest utrzymanie stosunków przyjaznej współpracy ze wszystkimi krajami azjatyckimi, które już sobie wywalczyły niepodległość i pomaganie im w utrzymaniu suwerenności. Najjaskrawszym przykładem tego jest uznanie przez Indie Chińskiej Republiki Ludowej i poparcie jej w walce o zajęcie należycie miejsca w ramach Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Te same kryteria dyktują Indiom ich stanowisko wobec problemu koreańskiego. Chodzi im przede wszystkim, aby naród koreański zjednoczył się i uzyskał pełną niezależność, wolną od ingerencji imperializmu amerykańskiego. Lecz właśnie to stanowisko broniienia słusznym praw narodowych ludu koreańskiego wywołuje ataki reakcyjne prasy amerykańskiej, określającej pozycję Indii jako „prokomunistyczną”.

Indie nie należą do obozu demokratycznego, a ich ustroj i struktura polityczna są bardzo dalekie od tego, aby można je było nazwać postępowymi. Jednakże ich walka o utrzymanie własnej niepodległości politycznej i gospodarczej oraz przeciwstawianie się zakusom imperialistów na poszczególnie kraje azjatyckie zapewnią im prawdziwą zyczliwość krajów, które wyzwoliły się z jarzma niewoli i budują swoją lepszą przyszłość.

s.d.

(Dokończenie na str. 4)

NOTATNIK POLITYCZNY

POZYCJA INDII

W obecnej fazie walki o załatwienie problemu koreańskiego zasięga na baczną uwagę zaostrzającą się przeciwstawność polityki Stanów Zjednoczonych i Indii. Jak wiadomo, rząd waszyngtoński pod naciskiem światowej opinii publicznej, a nawet swych sojuszników atlantyckich, zmuszony był do podpisania zawieszenia broni w Panmundzjonie; ale imperialistyczne koła amerykańskie dokładają wszelkich starań, by sabotażem postanowienia konwencji rozejmowej i nie dopuścić do słusznego załatwienia sprawy koreańskiej na przewidzianej konferencji politycznej. Znamienne jest utracenie Indii na terenie ONZ jako ewentualnego uczestnika konferencji politycznej w sprawie koreańskiej i systematyczne utrudnianie pracy neutralnej komisji rozejmowej w sprawie jeńców.

Trudności czynione w działalności komisji rozejmowej przez stronę amerykańską spowodowały stanowczy protest rządu Indii wobec Stanów Zjednoczonych, co wywołało gwałtowne ataki reakcyjnej prasy amerykańskiej przeciwko stanowisku Indii w sprawie koreańskiej i okarżenie ich o rzekome sympatie prokomunistyczne. W istocie rzeczy przedstawiciele hinduscy, stojący na czele komisji neutralnej w sprawie jeńców, walczą jedynie o ściśle i uczciwie wykonywanie konkretnych postanowień zawieszenia broni. Dla zrozumienia, na jakim podłożu wyrosły propagandowe slogany prasy amerykańskiej, trzeba uświadomić sobie, czym jest dziś ogólna polityka Indii na arenie międzynarodowej.

Wywalczony sobie po II wojnie światowej suwerenność narodową, Indie rozpoczęły niezależny byt polityczny z poważnym obciążeniem dużych wpływów kapitału obcego zarówno brytyjskiego, jak i amerykańskiego, który posiada oddanych sobie sojuszników wśród feudałów i kół wielkokapitalistycznych kraju. Kierownictwo reprezentujące burżuazję narodową stronnictwa Kongres Narodowy zdaje sobie sprawę, że utrzymanie pełnej niepodległości narodowej związane jest ściśle z usunięciem rożimów kolonialnych na całym kontynencie azjatyckim. Dobrze zrozumiany interes własny dyktuje przeciwstawianie się próbom amerykańskim wciągnięcia Indii do bloku imperialistycznego.

ks. Mieczysław SUWAŁA

INGRES WŁOCŁAWSKI

STOLICA Apostolska mianowała ordynariusza diecezji włocławskiej Ks. Biskupa dr Antoniego Pawłowskiego, b. regensa Warszawskiego Seminarium Duchownego i profesora teologii pozytywnej na Uniwersytecie Warszawskim. Dnia 25 października br. w uroczystość Chrystusa Króla nowomianowany Ordynariusz obejmując rządy diecezji dokonał uroczystego ingresu w katedrze we Włocławku. Kapituła włocławska i kaliska w obecności wiernych, przybyłych z pobliskich parafii, licznie zgromadzonego duchowieństwa z całej diecezji i profesorów Wydziału Teologii Katolickiej U. W. z ks. dziekanem Janem Czujem na czele, oficjalnie wprowadziła na tron nowego biskupa i oddała mu klucze od katedry. Ingres ks. Biskupa Antoniego Pawłowskiego był wielkim wydarzeniem dla diecezji włocławskiej, której prawie tysiącletnia przeszłość zapisana jest sławnymi imionami biskupów i licznymi faktami o znacznym dziejowym dla Polski i Kościoła.

Biskupstwo włocławskie należy do najstarszych w Polsce, a jego stolica Włocławek — civitas antiqua Vloclavia — był już znanym miastem za czasów Bolesława Chrobrego.

Początki biskupstwa włocławskiego giną w promocy dziejów. W naukowej literaturze historycznej istnieje hipoteza umiejscawiająca założenie tego biskupstwa w okresie czasu dzielącym panowanie Bolesława Chrobrego od panowania Bolesława Krzywoustego. Znane są jednak źródła, które wskazują, że biskupstwo włocławskie istniało już za czasów Bolesława Chrobrego. Niemiecki kronikarz, Thietmar z Merseburga, opisując zjazd gnieźnieński w tysięcznym roku, wymienia wśród uczestników tego zjazdu również i biskupa włocławskiego. Rocznik Świętokrzyski pod datą 1003 roku wspomina, że Bolesław Chrobry utworzył trzy biskupstwa, w tym — obok poznańskiego i lubelskiego nad Odrą — także i włocławskie. Gall w swojej Kronice pisze, że Mieszko II, syn Bolesława Chrobrego, hojnie wyposażył biskupstwo włocławskie, a Bolesław Śmiały w 1065 roku rozszerzył jego granice terytorialne. Przytoczone źródła potwierdzają tezę tych historyków, którzy założenie biskupstwa włocławskiego ze stolicą we Włocławku odnoszą do czasów Bolesława Chrobrego.

Druga połowa panowania Mieszka II nie była szczęśliwa, po jego śmierci zaś podniosła się reakcja pogańska w całej Polsce. W tym okresie według Kroniki Galla, podczas najazdu na Włocławek pogańskich Pomorzani i Prusaków, biskupstwo włocławskie upadło. Odbudował je i z powrotem do życia powołał Kazimierz Odnowiciel, który po zniesieniu biskupstwa pomorskiego ze stolicą w Kruszwicy, utworzył dla Pomorza biskupstwo włocławskie ze stolicą we Włocławku, w którym już wówczas był drewniany tum katedralny.

Bolesław Krzywousty korzystając z pobytu legata papieskiego, kardynała Idziego, dokonał reorganizacji diecezji w Polsce w latach 1123 — 1126. Biskupstwo włocławskie otrzymało nowe granice terytorialne, a mianowicie: Kujawy i Pomorze gdańskie.

Synod prowincjonalny piotrkowski z 1551 roku biskupstwo włocławskie (w granicach z czasów Bolesława Krzywoustego) nazwał włocławskim i pomorskim dla wyraźnego podkreślenia, że Pomorze stanowi integralną część Polski.

W 1818 roku w Królestwie Polskim dokonano nowego podziału terytorialnego diecezji polskich, w wyniku którego doszło do stworzenia diecezji kujawsko-kaliskiej ze stolicą również we Włocławku. Nowa diecezja należała do najrozleglejszych diecezji w tym czasie. Obejmowała Kalisz, Częstochowę i Piotrków, miasta odległe od Włocławka, który tylko dla racji historycznej pozostawiono stolicą tej diecezji.

Wreszcie bulla papieska z 1925 roku „*Vladum Poloniae unitas*“ przeprowadziła ostatni podział diecezji polskich. Zniesiono diecezję kujawsko-kaliską tworząc diecezję włocławską. Tak ją nazwano dla świetnej przeszłości i tradycji jej stołecznego miasta Włocławka.

KATEDRA WŁOCŁAWSKA

Z dziejami każdej diecezji związana jest historia biskupiej katedry. Początki katedry włocławskiej, jak również imię jej fundatora i pierwszego biskupa, są nieznane. Pierwszą katedrą stała nad Wisłą, w miejscu, gdzie obecnie znajduje się róg ul. Bednarskiej i Matebudy. Była ona prawdopodobnie przerobiona z istniejącego tu — może od samych początków chrześcijaństwa w Polsce — drewnianego kościoła pod wezwaniem Św. Jerzego, patrona rycerzy. Drewniana budowla, często niszczona wylewami Wisły, pożarami i napaściami pogańskich Pomorzani i Prusaków, z czasem uległa całkowitej ruinie.

W początkach XIII wieku ks. biskup Michał Godziemba na miejscu pierwotnej katedry wybudował nową w stylu romańskim. W 1329 roku w czasie napadu Krzyżaków na Włocławek i ta katedra została zniszczona. Grube jej mury romańskie dopiero w połowie XV wieku zostały usunięte, gdy na ich miejscu miał stanąć kościół św. Stanisława Męczennika. Niektóre fragmenty fundamentów i murów tej katedry zostały odkopane w ostatnich latach przy robotach budowlanych na rogu ul. Bednarskiej. Rozmieszczenie wykopalińsk wskazuje, że katedra mogła liczyć od 50 do 70 m długości. To świadczyłoby o jej okazałych rozmiarach.

Historia obecnej katedry opiera się na licznych dokumentach. Zbudował ją książę biskupi Maciej i Zbiłut Golanccwscy w końcu XIV wieku. Cała architektonika obecnej ka-

tedry, jej wspaniałe sklepienie i arkady, okna, filary, trzy nawy, prezbiterium oraz zakrystia, która znajduje się od strony wielkiego ołtarza, zachowała swój pierwotny wygląd i strukturę. Układ planu świątyni był wzorowany na kościołach parafialnych polskich z XIV wieku. Styl katedry, ostrołukowy, gotycki z rodziny ceglanych, ale polskiej architektury i konstrukcyjnego systemu krakowskiego, w pewnych motywach jest zbliżony do budowli krzyżackich. Fundatorzy bowiem katedry powierzyli jej budowę i wykonanie architektowi krzyżackiemu.

Trzynawowe wnętrza katedry z licznymi kaplicami kryje w sobie cenne zabytki historyczne, liczne dzieła sztuki, a między innymi rzeźby Wita Stwosza.

W wieku XV przy katedrze istniała szkoła katedralna, do której około 1490 roku przybył pobierać nauki młody Mikołaj Kopernik. Wuj jego, Łukasz Waczenrode, kanonik katedralny, zdecydował o zapisaniu Mikołaja w poczet uczniów tej szkoły. Tutaj Mikołaj Kopernik zetknął się z Mikołajem Wodko z Kwidzyna zwanym Abstemiuszem. Ten *vr illuminatus i doctor artis medicinae* wprowadzał młodego Kopernika w zagadnienia astrologii i astronomii.

DZIEJE WŁOCŁAWSKIEGO SEMINARIUM DUCHOWNEGO

WŁOCŁAWSKIE Seminarium Duchowne zapewniło karty swojej historii nazwiskami sławnych duszpasterzy, biskupów i prymasów polskich. Zostało ono założone w 1569 roku przez ks. biskupa Stanisława Karnkowskiego dla przygotowania świątobliwych i świątliwych kapłanów, którzy mieli podjąć się obrony wiary świętej przed herezjami szerzącymi się w owych czasach na Kujawach i Pomorzu. W pierwszym okresie swego istnienia Seminarium rozwijało się bardzo słabo. W 1595 roku zostało przeniesione do Poznania, do kolegium O.O. Jezuitów, a z początkiem XVII wieku powróciło znowu do Włocławka pod kierownictwo Księży Misjonarzy. W tym czasie o rozwój Seminarium zatroszczył się ks. Maciej Łubieński, który powołał świątliwych profesorów, a między innymi historyka, Stefana Damlwicza. Od 1884 roku kierownictwo Seminarium przeszło w ręce duchowieństwa świeckiego. Od tej daty poczynna się rozwój i rozrost Seminarium. Było to zasługą profesorów, księży prałatów: Zenona i Stanisława Chodyńskich, uczonych teologów i pisarzy.

Po pierwszej wojnie światowej spośród profesorów i rektorów Seminarium wysunął się na czoło ks. Idzi Radziszewski, rektor Akademii Duchownej w Petersburgu, a później pierwszy rektor K.U.L.-u, znakomity pisarz katolicki.

Z Seminarium Włocławskiego aż 220 księży zostało zamordowanych



Katedra włocławska

w czasie okupacji niemieckiej w obozach hitlerowskich.

Chlubą diecezji włocławskiej jest biblioteka seminaryjna, która należy do najbogatszych spośród kościelnych bibliotek w Polsce. Znajduje się w niej około 100 tys. tomów różnych treści, rzadkich druków oraz inkunabułów. Początki zorganizowania biblioteki należy odnieść do 1660 roku, kiedy to ks. Teodor Zaporski przekazał na rzecz Seminarium dzieła Bonaciny: *Casualiae i Hortus Pastorum*.

BISKUPSTWO WŁOCŁAWSKIE A. SPRAWA KRZYŻACKA

BISKUPI włocławscy w dziejach Polski odegrali wybitną rolę zarówno polityczną, jak i kościelną. Wystarczy wspomnieć ks. biskupa M. Golanccwskiego, który towarzyszył Łokietkowi pod Płowce. Był to przykładowy duszpasterz i obrońca granic Rzeczypospolitej przed Krzyżakami. Znanie jest w historii polskiej imię ks. biskupa Stanisława Karnkowskiego, prymasa Polski, politycznego doradcy Stefana Batore-

go. Do historii przeszło również imię ks. biskupa Michała Kozala, więźnia Dachau, który wnosząc się do granic poświęcenia i heroizmu stał się symbolem miłości Kościoła i Polski.

Od niepamiętnych czasów (aż po 1818 rok) do diecezji włocławskiej należało oprócz Kujaw i części Mazowsza także i Pomorze i Gdańskiem. Po to, aby wobec Stolicy Apostolskiej i Krzyżaków zaznaczyć, że Pomorze jest integralną częścią Rzeczypospolitej, biskupami włocławskimi mianowano przeważnie doradców królewskich i wysokiach dostojników kancelarii królewskiej. We Włocławku schodzili się więc i zabiegali ogniwo myśli politycznych Polski o stosunek do Pomorza i Prus. Tutaj odbywały się zjazdy nie tylko kościelne, ale i polityczne. Tu również urzędowały komisje papieskie, które rozstrzygały ważne sprawy zarówno dla Kościoła, jak i Państwa. W tych sprawach biskupi włocławscy mieli decydujący głos. Bronili oni interesów Polski na morzu przestrzegali królów przed intrygamami krzyżackimi, dążąc do utwierdzenia potęgi Polski na tych ziemiach, zwłaszcza w okresie zmagania z Krzyżakami.

NOWY ORDYNARIUSZ

Ks. Biskup Antoni Pawłowski objął rządy diecezji w momencie, kiedy Polska stanęła na progu nowego okresu historii, budując podstawy socjalizmu. Przebudowę społecznego spódnocza kraju objęła wszystkie dziedziny życia, zmieniając strukturę wsi i miast. Rozwój gospodarstw spółdzielczych na wsi postępuje szybko naprzód, z dnia na dzień potężnie przemyśl. Rozwojowi przemysłu i rolnictwa towarzyszy rozrost szkolnictwa. Młodzież wiejska i robotnicza w ogromnej części zajęła ławy szkół średnich i wyższych. Tworzą się nowe kadry inteligencji postępowej.

Ks. biskup Antoni Pawłowski objął rządy diecezji w momencie powstania Komisji Duchownych i Świeckich. Działaczy przy Komitetach Frontu Narodowego. We Francji Narodowym ludźmi o różnych światopoglądach realizują postulaty przybudowy społeczno-gospodarczej Polski. Wraz z działaczami Frontu Narodowego całe społeczeństwo polskie protestuje przeciw polityce państwa imperialistycznych. Kategorie społeczne, które w przeszłości miały charakter polityki karykaturalnej, a nieoficjalnie Adenauera odnośnie naszych granic zachodnich.

Ks. biskup Antoni Pawłowski będzie przebywał i rządził we Włocławku, w mieście robotników, którzy już w latach trzydziestych bohatercko stawili czoło przemysłowcom i kapitalistom broniąc słusznych spraw robotnika polskiego, walcząc z wyzyskiem. Włocławek był i jest miastem postępowej myśli narodu polskiego.

Kościół a polityka

Dokończenie ze str. 3

Ważny jeszcze jeden przykład: konkordat, zawarty pomiędzy Stolicą Apostolską a faszystowskim rządem generała Franco w Hiszpanii. Nie wątpliwie do kompetencji i obowiązku Watykanu należy unormowanie życia Kościoła Katolickiego w każdym kraju, nawet rządowym i przez faszystów. Niemniej jednak każdy katolik ma prawo się zastanowić, w czym nie wychodzą poza należyte stosunek do Głowy Kościoła, nad faktem, że pertraktacje, trwające już parę lat i to w niełatwych warunkach, zakończyły się niespodziewanie właśnie na parę tygodni przed podpisaniem przez tegoż Franco umowy wojennej z rządem Stanów Zjednoczonych. Paryski „Le Monde”, najdalej od skłonności społecznej nie postępowych, opisał surowo wymowę tej „zbieżności”:

„K Konkordat podpisany w dniu 27 sierpnia przez Stolicę Apostolską i rząd Madrycki jest niewątpliwie najwęższym zwycięstwem reżimu generała Franco, odniesionym po zakończeniu wojny domowej...”

Od lat przeciwnicy generała Franco powtarzali, że nigdy nie dojdzie do zawarcia konkordatu przez Watykan z Madrytem. W kilka miesięcy po doznaczeniu Hiszpanii do UNESCO, w przeddzień zawarcia domowych traktatów handlowych i wojskowych ze Stawami Zjednoczonymi, rząd Madrycki uzyskał moralną porażkę, której najbardziej potrzebował!”

Dla nas też, niechęć, nie może ulegać wątpliwości, że w tym momencie poprzez politykę kościelną „sensu strieto” przebiły względy polityczne w najbardziej świeckim tego słowa

znaczeniu. W danym wypadku Watykan dał się użyć jako narzędzie polityczne dla celów najoczywistej reakcyjnych. Po prostu ułatwił i Eisenhowerowi, i generałowi Franco podpisanie paktu służącego celom imperialistycznej polityki wojennej, stworzył przychylny klimat moralny dla wyrwania reżimu frankistowskiego z odosobnienia i atmosfery napięcia, w jakiej przebywał od czasu klęski jego możnego protektora Hitlera. Ewentualne korzyści kościelne, wynegocjowane w tych okolicznościach, nawet w małej mierze nie pokrywają — wydaje się nam — trwałych strat przysporzonych nie tylko sprawie pokoju, ale i sprawie samego Kościoła. Pamiętając, co pisał Maritain o opiece Ducha Świętego nad wszelkimi poczynaniami Stolicy Apostolskiej, mamy jako katolicy oczywiste prawo do wyrażenia głębokiego sprzeciwu, jakie budzi w nas ten krok w jego aktualnych, do- czesnych konsekwencjach.

W paru typowych przykładach pokazał nam krzyżowanie się problematyki kościelnej i politycznej w działalności Stolicy Apostolskiej i wykazał nam, w jakiej mierze i w jaki sposób przysługuje katolikom prawo zajmowania w tych kwestiach własnego, nawet i polemicznego stanowiska.

Po usunięciu wątpliwości natury doktrynalnej, po obaleniu ściśle dy-

wersyjnego zarzutu, iż za tego rodzaju postawą kryje się tendencja wrogoj jednostki Kościoła — pozostaje nam danie odpowiedzi na ostatnie pytanie, tym razem natury czysto teologicznej: jeśli mamy prawo do zajmowania stanowisk krytycznych, w granicach dopuszczalnych dla katolika, nawet w stosunku do posunięć politycznych Watykanu — czy jest rzeczą wskazaną nasze zastrzeżenia ujawniać publicznie? Czy nie lepiej przemilczeć, przedyskutować je najwyżej w naszym wewnętrznym gronie ludzi wierzących?

Jest naszym oczywistym obowiązkiem dbać o autorytet religijny naszej Hierarchii. Autorytet ten jednak nie tylko nie traci, ale zyskuje na krytyce dotyczącej sfery działalności niereligijnej. Wskazuje bowiem ludziom nie wierzącym, jak my, katolicy, rozdzielamy dziedzinę spraw naszej wiary, gdzie wierzymy w nieomyślność Papieża, od dziedzin tylko pośrednio związanych z treścią katolicyzmu, gdzie uczwie i jasno oceniamy i poddajemy się cudzym ocenom, o ile są użyteczne.

Są jeszcze inne przyczyny, nie pozwalające nam na milczenie. W grę tu wchodzi interes narodowy. Bacznie śledzimy to wszystko, co po stronie katolickiej jest uczestnictwem w rozwiązywaniu zagadnienia niemieckiego i dostarczamy, w jak dużym stopniu właśnie wpływa kościelne, zarówno niemieckie, jak i

Wojciech Kępczyński

Juliusz DOMAŃSKI

POLSKI PRZEKŁAD TUKIDYDESA

JESLI chodzi o słuchaczy, to dzieło moje, pozbawione baśni, wyda im się może mniej interesujące, lecz wystarczy ci, jeśli uznają je za przyteczne ci, którzy będą chcieli poznać dokładniej przeszłość i wyrobić sobie sąd o takich samych lub podobnych wydarzeniach, jakie zgodnie ze zwykłą koleją spraw ludzkich mają zajść w przyszłości. Dzieło moje jest bowiem dowodem o nieprzemijającej wartości, a nie utworem dla chwilowego popisu.

Tak pisał dwadzieścia kilka wieków temu autor „Wojny peloponeskiej”, piarż świadomy swego nowatorstwa w zakresie historii greckiej, Tukidydes syn Olorosa, niefortunny strateg ateński z wyspy Tazos. Spóźniwszy się w r. 424 z odsieczą do Amfipolis, przez dwadzieścia lat przeżywał musiał na wygnaniu i obserwował wypadki wojny, o której sądził, że „będzie wielka i że wszystkie dotychczasowych wojen najbardziej godna pamięci”.

Dzieło Tukidydesa jest w historiografii greckiej zjawiskiem niezwykłym. Już sam fakt, że autor nie interesuje się czasami odległymi dla nich samych, lecz tylko o tyle, o ile są tu one pomocne do udowodnienia tezy o niezwykłej doniosłości wojny peloponeskiej, jest barzo znamienny. Wprawdzie i Herodot, tylko ojedno pokolenie starszy od Tukidydesa, za główny temat swoich „Historii” obrał sobie wojnę peloponeską, lecz dopiero przed półwiekiem, a tradycja dawniejszych „logografów” ciążyła jeszcze nad nim tak silnie, że mniej więcej połowę swego dzieła poświęcił wypadkom odległym, nie pomijając również zdarzeń mitycznych. Tukidydes nie poszedł w tym względzie u tartą drogą, a w innych sprawach okazał jeszcze więcej oryginalności.

Jśli Cycero nazwał Herodota ojcem historiografii, to nasmę to trzeba odnosić między innymi do faktu, że wbrew dawniejszym logografom układającym wykazy niezliczonych genial g Herodot pierwszy poświęcił sobie za zadanie przedstawienie wydarzeń historycznych na miarę światową. Nie znaczy to jednak, że Herodot reprezentuje historiografię naukową we współczesnym pojęciu. Jego zamarem było podać do wiadomości nie tyle wyłaskane — przy pomocy racjonalnej krytyki — ze skorupy legendy fakty, ile to właśnie, co o tych faktach mówiono. Przy tym wszystkim był Herodot za bardzo, jak na historyka, poeta i za bardzo historiozofem o tendencjach moralizatorskich. Naczelny problem jego dzieła sprowadza się przy ocenie wypadków do pytania: „Kto winien?” Szukając przyczyny zwycięstw i upadków do patryje się jej podobnie jak to czynił w swoich tragediach Aischylos, we wszechwładnej Dike karzącej pychę jednostki. A ta naiwna religijność — według wyrażenia T. Sinka — „rozszerzała wprawdzie horyzonty aż do

niach, szukać miał historyk przyczyn wypadków, tłumaczyć je charakterem ludzkiej natury, dociekać ukrytych motywów postępowania bez naiwnego i uproszczonego „deus ex machina”. Taką drogę wytknął historiografii Tukidydes. Dzieło jego, pisane według tych metod, jest z pewnością mniej ozdobne, mniej literackie niż mitologizujące dzieło Herodota. Ale mówiąc o rzeczywistości historycznej prościej i odzierając ją z ozdoby mitu i fikcji, gwarantuje większą prawdziwość relacji. A o to przecież w historii idzie przede wszystkim.

Dzieło Tukidydesa pozostało w historiografii greckiej zjawiskiem odosobnionym i nie znalazło wśród jego następców kontynuatora. Historycy IV wieku woleli łatwiejsza i dająca więcej doraźnych efektów drogę Herodota, a nawet i późniejsi krytycy dość niechętnie wyrażali się o Tukidydesie jako pisarzu. Ale czasy nowożytnie doceniły w pełni trudną, naukową metodę genialnego historyka i wiele się od niego nauczyły. Każdy wiek szukał w Tukidydesie nie tylko źródła wiadomości o wojnie peloponeskiej, ale i wzoru rzeczowej, krytycznej relacji historyka. Można powiedzieć, że twierdzenie Tukidydesa o „nieprzemijającej wartości” jego dzieła już się dostatecznie sprawdziło.

Z tym większą radością witamy nowy, pięknie wydany przekład Tukidydesowego dzieła. Warto uświadomić sobie, jak doniosłe jest jego znaczenie w dobie obecnej, kiedy znajomość języka greckiego stała się własnością niewielu tylko specjalistów.

Dotychczas mieliśmy w Polsce jeden opublikowany pełny przekład Tukidydesa (pióra Antoniego Bronkowskiego), jednego z tych niefortunnych tłumaczy w ubiegłym stuleciu, którzy elaboratami swoimi zdolni byli raczej odstraszyć od studiowania literatury antycznej niż do niej zachęcić. Trudno powiedzieć, jakie były przyczyny tego smutnego zjawiska, że w okresie poprzedzającym bezpośrednio powstanie pierwszych dzieł Prusa i Sienkiewicza, których walory stylistyczne bynajmniej nie plegały dziś jeszcze na ich „archaizację”, obywateli w większość przekładów z literatury starożytnej, obok innych cech stylistycznego zwyrodnienia, odznaczała się jeszcze jakimś zgłota patologizującym zamykaniem do archaizacji. Zda się, że główną winę ponosi tu, jeśli nie brać pod uwagę miernych zdolności literackich tłumaczy, niewłaściwe pojmowanie roli tłumacza i zadań przekładu. Tłumaczom tego okresu wydawało się, że przekład dzieła sprzed dwudziestu wieków posługujący się współczesnymi im środkami językowymi i stylistycznymi byłby niestosowny, bo „niewierny”, że zdradzałby oryginał i zamiast przekładu stałby się swobodną parafrazą. Widząc rozbieżność między strukturą wewnętrzną oraz środkami ekspresji języka i języka tłumaczonego autorów, uważali oni za błąd posługiwanie się tym językiem literackim, jakiego używali na codzień, i dlatego tworzyli sobie z wielkim a bezowocnym trudem inny, „odswieżony” język, w którym — z pomocą archaizacji oraz innych karkołomnych sztuczek — usiłowali oddać wiernie wszystkie osobliwości języka oryginału z budową zdań i fraz włącznie.

Stwierdzam ten przykry stan rzeczy nie dlatego, żebym chciał potępić niefortunnego tłumacza zeszłego stulecia, lecz żeby na tle niedomagań ówczesnej literatury przekładowej, jakich — jeśli idzie o Tukidydesa — nie wynagrodziły lata następne, bardziej wyraziście ukazały się walory przekładu, któremu te uwagi poświęcam. Sądzę, że w myśl tej zasady nie od rzeczy będzie, choć tyle już mówilem o Bronkowskim, zestawić choćby jeden fragment jego przekładu z przekładem profesora Kumanieckiego, żeby na tym materiale uwidocznić wartość nowej wersji. — Wybierzmy jako przykład pierwsze zdania *Wojny peloponeskiej*.

„Thucydides Atheniēzys — brzmiał przekład Bronkowskiego — opisał wojnę Peloponnesyān i Ateńczykōw jako walczyl przeciwko sobie, zaczęwszy zaraz od jej początku, a przeważając, że będzie wielką i najgodniejszą pamięci z pomiędzy uprzednio zdarzonych, stąd wnioskując, że i w pełnej sile wszelakiego przygotowania oboje do niej przystępowali i reszta greckich szczepeł widząc stuwającą po jednej ze stron obojga, tu

natychmiast tamte i przemysłające (o tem). Poruszenie bo też to było najogromniejsze Greków i w pewnej części barbarów, powiedziebny moźna, utwet na największą część ludzi (rozciągające się). Albowiem co przedtem i jeszcze dawniej zaszło, jasno wysłedzić dla niezmierności czasu niepodobne było, lecz z poznak, z których jak najodleglej w tył spogląda jęcemu wiarę poroziąc przyczynozni, sądzę, że nie miało wielkiego znaczenia ani pod względem wojen ani pod względem innych rzeczy”.

Trzeba się bardzo uważnie wczytać w ten ustęp, żeby zrozumieć, o co w nim chodzi. Dziwaczne połączenia wyrazów, niezrecznie skomponowane długie okresy z nadmiernym imiesłowem, nawiasowe wyjaśnienia, mające niby — jako wtręty „od tłumacza” — uchronić Tukidydesową zwięzłość, wreszcie wyrażenia nie wiadomo co oznaczające (mam na myśli słowa: „te natychmiast tamte i przemysłające (o tem)) — cały ten skomplikowany i bezużyteczny aparat zdradza co najwyżej rażąca nieporadność tłumacza. Nie wiem, czy współcześni rozumieją przekład lepiej. Co do nas — nawet przy elementarnej znajomości języka greckiego — łatwiej nam zrozumieć oryginał niż to szkolarskie, dosłowne tłumaczenie. — A oto ten sam ustęp w nowym przekładzie:

„Tukidydes z Aten opisał wojnę, którą prowadzili między sobą Peloponezyjczycy i Ateńczycy. Zabrał się do dzieła zaraz z początkiem wojny, spodziewając się, że będzie ona wielka i że wszystkich dotychczasowych wojen najbardziej godna pamięci. Wniosek swój zaś opierał na tym, że obie strony ruszały na nią znajdując się u szczytu swej potęgi wojennej, a reszta Hellady bądź od razu, bądź z pewnym wahaniem przyłączała się do jednej albo drugiej strony. Był to bowiem największy ruch, jaki wstrząsnął Hellenami i pewną częścią ludów barbarzyńskich, a można powiedzieć nawet, że i przeważającą częścią ludzkości. Dokładne zbadanie wypadków poprzedzających tę wojnę i jeszcze dawniejszych nie było możliwe ze względu na zbyt długi okres czasu, jaki od nich upłynął; jednakże cofając się w najodleglejszą przeszłość, na podstawie świadectw, które rozpatruję i którym muszę wierzyć, sądzę, że nie

było wówczas ani wielkich wojen, ani innych wielkich wydarzeń”.

Nie będę cytował innych przykładów; ten jeden dostatecznie ilustruje zarówno różnicę załżeń, z którymi do pracy przystępowano, jak i wyniki tej pracy. Bronkowski bał się „rozwozić” Tukidydesową zwięzłość, chciał jej pozostać wierny za wszelką cenę i w imię tej werności stworzył dzieło, które zawziętością swą niewątpliwie „przewyższa” oryginał.

Współczesny tłumacz zrezygnował z tej przesadnej ostrożności. Nie zawahał się nagiąć oryginału do współczesnej polszczyzny, wyrzekł się wszelkiej archaizacji, nie lękał się oddawać imiesłowu przez formę osobową, jeśli tego wymagał duch języka polskiego, nie widział odstępstwa od oryginału ani w dzieleniu długiego okresu greckiego na współrzędne zdania, ani w rozwijaniu i uzupełnianiu zbyt zwięzłych i niejasnych fraz.

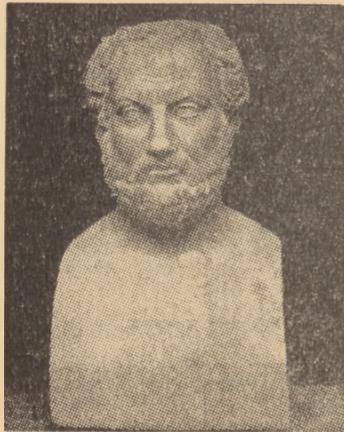
Czy Tukidydes nie został przez to sfalszowany? — Nie tu miejsce na dokładne porównywanie przekładu z oryginałem — zajmą się może tą sprawą publikacje fachowe. Błędne pojęcie niewolniczej wierności wobec oryginału, reprezentowane przez wielu tłumaczy ubiegłego stulecia, nie wzbudzi w nas tej obawy, zwłaszcza gdy sobie uświadomimy, że Tukidydesa rozumiemy dokładnie dopiero w tym nowym przekładzie. A to jest chyba najważniejsze.

I może warto tu jeszcze przy okazji uświadomić sobie, że ten dobry przekład nie jest zjawiskiem odosobnionym w powojennej literaturze przekładowej. Obok monumentalnego Aischylosa Stefana Srebrnego wystarczy w zakresie prozy wymienić „Wojnę domową” Cesara w przekładzie Jana Parandowskiego, żeby jasne się stało, że literatura przekładowa weszła na nową drogę, na której spotyka się z pełnym uznaniem szerokiej mas czytelników. Zasluga to i teoretyków z Penclubu, i tłumaczy, w praktyce realizujących ich wytyczne.

PRZED dwudziestu laty prof. Tadeusz Sinko omawiając w I tomie *Literatury greckiej* popularność Tukidydesa na Zachodzie Europy ubolewał nad stanem znajomości tego autora w Polsce. Gdy się po-

myśl — pisał tam — że w spadku Tukidydesowym nie bierze udziału Polska, w której obecnie nawet słaby przekład Bronkowskiego nie jest dostępny, smutno się robi z powodu tego zaniedbania, nie filologicznego czy literackiego, ale umysłowego i kulturalnego. Przekład mowy Periklesa w Antologii greckiej S. Zarheza (Lwów 1895) czy Wzorach Srebrnego (w II t. List. starożytnej Grecji Zielińskiego, Warszawa 1929, gdzie także jest przekład kłeski Ateńczyków na Sycylii VII 75-87) we nawiązuje jeszcze owego zaniedbania”.

Naprawia je natomiast po dwudziestu latach nowy przekład profesora



Tukidydes

Kumanieckiego, po którym nikt nie będzie się mógł uskarżać na „umysłowe i kulturalne zaniedbanie” w tej dziedzinie. Nie chciałbym wywołać wrażenia taniego patosu twierdząc, że przekład „Wojny peloponeskiej” przy czynia się w pewnym sensie również do spełnienia Tukidydesowych nadziei oddania ludzkości „dorobku o nieprzemijającej wartości”. Nie jest bowiem trwałym dorobkiem dzieło, które stało się z czasem wyłączną własnością niewielkiej liczby erudytów-fachowców. A czyż nie groziłoby to księgom Tukidydesa dziś, kiedy dokonał się — smutny dla miłośników kultury antycznej, ale nieodwracalny chyba — proces zaniku znajomości języka greckiego wśród inteligencji polskiej? Nie pozwolił im jednak pójść w zapomnienie poprawny, zrozumiały powszechnie przekład. I możemy chyba — idąc za radą Tukidydesa, który o wypadkach przyszłych kazał wnioskować z minionych — mieć nadzieję, że przekład ten nie stanie się po stu latach przyżytkiem, do którego nikt nie zechce zajrzeć. A jeśli ta nadzieja nie na nikłych podstawach się opiera, wolno chyba powiedzieć, że tłumacz przysporzył polskiej literaturze przekładowej „dorobku o nieprzemijającej wartości”, jak autor *Wojny peloponeskiej* — europejskiej historiografii.

Juliusz Domański

NA PÓLCE KSIĘGARSKIEJ

„O opatrności Bożej” Salvianusa

O mnichu galijskim Salvianusie, autorze dzieła „O Opatrzności Bożej”, wiemy niezbyt wiele. Urodził się przed r. 400 gdzieś w okolicach Kolonii lub Trewiru. Gdy barbarzyńscy Frankowie przekroczyli Ren, udał się do południowej Galii i osiadł w klasztorze na wyspie Lerinum, położonej w pobliżu Cannes. Drugą część życia spędził jako kapłan w Marsylii, która też była właściwym terenem jego działania. Umarł około r. 480.

Salvianus był postacią wybitną. Historyk Gennadius, który znał go osobiście, nazywa go „episcoporum magister”. Jak można sądzić z charakteru pism Salvianusa, miał on temperament nie tyle pisarza, co mówcy. Jego słowa, pełne troski o losy ubogich i prześladowanych, oraz odwaga, z jaką oskarża nie licząc się z nikim i z niczym, musiały wywierać wielkie wrażenie na współczesnych.

Salvianus był w pierwszym rzędzie moralistą. Z pozycji etyki chrześcijańskiej walczył o to co dziś nazywamy sprawiedliwością społeczną. Rozwiązania, jakie proponował, były utopijne, lecz takiej wnikliwości i realizmu w przedstawieniu współczesnej sobie rzeczywistości społecznej nie spotyka się u innych pisarzy tego okresu.

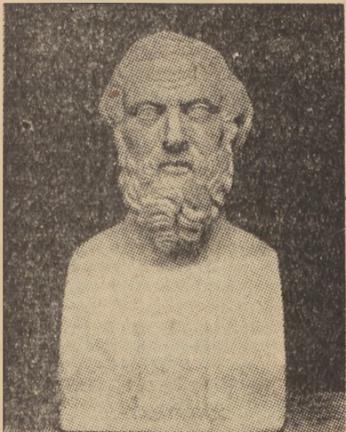
Powstały około połowy V w. traktat „O Opatrzności Bożej” jest najpoważniejszym i najcenniejszym dziełem Salvianusa, jakie przechoowało się do naszych czasów. Pisząc je zamierzał Salvianus rozwiązać niezmiernie wówczas aktualny i budzą-

cy wiele niepokoju problem pogodzenia wiary w Bożą Opatrzność z niewątpliwym faktem upadku chrześcijańskiego Rzymu pod naciskiem pogańskich i heretyckich barbarzyńców. Rozwiązania, jakie daje, samodzielnie i odrębne od wcześniejszych teorii Augustyna i Orozjusza, zapewniają mu przez swą oryginalność i prawdziwy humanizm trwałe miejsce w chrześcijańskiej historiozofii. Tym jednak, co może budzić szersze zainteresowanie dla prac Salvianusa, jest kreślony w niej obraz stosunków społecznych Zachodniego Cesarstwa w okresie wędrowki ludów, obraz barwny, tragiczny i sugestywny, który Salvianusowi miał służyć za ilustrację i argument dla jego tezy, a dla nas dzisiaj jest nieocenionym dokumentem historycznym.

Obecnie ukazujące się wydanie dziełka „O Opatrzności Bożej” jest jego pierwszym polskim tłumaczeniem. Obejmuje ono tylko trzy środkowe księgi pracy z ogólnej liczby ośmiu, ponieważ w tych właśnie księgach zawierają się zasadnicze tezy autora i najciekawszy materiał historyczno-społeczny. Księgi pominięte w tym wydaniu zawierają bądź mało oryginalny i nie wyróżniający się materiał teologiczny, bądź też stanowią rozwinięcie i dalszą ilustrację tematów omawianych w trzech księgach środkowych.

Wybór poprzedzony jest obszernym wstępem historycznym pióra ks. dr Mieczysława Żywieńskiego.

J. E.



Herodot

nieba, lecz równocześnie usuwała spod nog ziemskie i ludzkie przyczyny i motywy działania”.

Tych właśnie „ludzkich i ziemskich” przyczyn szukał w dziejach wyrosły w atmosferze „oświecenia attyckiego” Tukidydes. On pierwszy zastępował w swej pracy metody krytycznej, realistycznej, pozwalającej na drodze rozumnej analizy odróżnić prawdę od fałszu. Był to krok do leku ważniejszy od zrezygnowania z dociekań „starożytności” i werunkujacy do zrezygnowania. Konsekwencje jego były doniosłe. Pozwolił na wykreślenie, dotąd zaprzeczanych, które bezpośrednio kierują ludzkim działaniem. Pozwolił stwierdzić, że historię tworzą nie mityczny bogowie i pieśni Homera, lecz ludzie. W lu dziejach przede wszystkim, w ich namiętnościach i licznych uwarunkowa-

1) Tukidydes. Wojna peloponeska. Przełożony z języka greckiego i opatrzony przedmową Kazimierz Kumaniecki. „Czytelnik” 1938, nr 1-2.
2) Thucydides Historia wojny peloponeskiej. W. E. Opatrzności Bożej. Antoni Bronkowski. Poznań 1861.

*** PAX ***

Ks. prof. Eugeniusz Dąbrowski
DZIEJE PAWŁA z TARSU
Wydanie drugie
Oprawa kartonowa zł. 75.—
Oprawa płócienna zł. 105.—

LISTY Św. PAWŁA APOSTOŁA
przekład ks. prof. E. Dąbrowskiego
Cena zł. 16.—

Stefania Skwarczyńska
STUDIA I SZKICE LITERACKIE
Cena zł. 45.—

Par Lagerkvist
BARABASZ
Oprawa płócienna zł. 18.—

ARKUSZE POETYCKIE
10 Autorów
Cena zł. 12.—

Wysyła Biuro Sprzedaży „PAX”.
Warszawa, ul. Mokotowska 43, za
zaliczeniem pocztowym lub po
wpłaceniu na konto PKO. W.wa.
1-851514. Przy wpłatach na PKO
prosimy dołączać zł. 3.— na koszty
przesyłki.

Drukowany poniżej fragment wycięty jest z większej pracy Leopolda Buczkowskiego pt. „Czarny potok”, w której opowiada o bohaterstwie żydowskiego ruchu oporu, przeciwstawiającego się bestialskim konsekwencjom niemieckiej dyskryminacji w wojnie. Autor — sam będąc uczestnikiem opisywanej przez siebie walki — ukazuje w swojej pracy humanistyczną, choć chwilami tragicznie szorstką i bez względu na trudny lecz pięknym przymierzem ludzi stojących w obronie człowieka.

— Nie ma, księżulku, filozofii, metafizyki, etyki. Nie ma nic — krom ruchu i przemiany, krom tego kołowrotu śmierci i życia, co jest jedno i to samo. Bo niech ksiądz pomyśli: kto jest — albo i był — powiernikiem i świadkiem miłości? Jawor? A ruta jest godłem cnoty dziewczęcej. A nie jakiś tam ctyka. Coś powymyślał, chyba żeby zgadnąć było trudniej.

— Może racja — powiedział Bańczycki.

— Tak. Bo albo niech ksiądz pomyśli: aby się dobrze ogórki udały, trzeba by dwadzieścia cztery godziny przed wysianiem namoczyć w mleku!

— Może racja, panie Gail. Bo na przykład takie Boże poszycie.

— Co Boże poszycie?

— Chyba po prostu. Czupryna na przykład — to też by miała jakiś sens.

— Jo.

— Wianeczek weszek za pazuchą. No nie?

— Jo.

— Ech, panie Gail, ruszyliśmy z kopyta...

— Co?

— Ruszyliśmy z kopyta. Czas chwycić szturmaka i strzelić siekającami.

— A nie ksiądz co? Przydałoby się na księdza taka poskramiaczka. Takie rymy w mordę.

— Nu, krew, odwal.

— Co, wariat! Czy można taką okazy zrzucić? — Gail rozłożył ręce, przywarł piersią do piersi Bańczyckiego.

— Panie Gail — ksiądz odsunął kulakiem gościa — co się składa na szpicla? Co jest ekranem szpicla? Czy dudławy ząb?

— Aha, tedy księżulko podejźdza.

— Co? Historia powszechna, biologia, socjologia, dziedzictwo, kryminał, czy wreszcie wychowanie?

— Konstrukcja świata. Przydałoby się tobie, księżulku, tegie mordopranie w jakimś śledczym kryminale, to byśmy dopiero wiedzieli.

— A ja ci powiem teraz, ty mój szpicelku — ksiądz pchnął rękę do kieszeni i czymś tam poruszał — ja ci powiem. Konstrukcja tego świata to holodrygi, gestapusię, niedoskrobki i tak dalej, niech już nie powiem, bo mnie krew zalewa!

— Ja sam wiem. Ja sam siebie uważam za nie niewartego. Jestem jak pieróg wzdęty pierdzieliną. Do niczego, jak rozebrany piec... Niech ksiądz zrozumie, że życie nie może przebiegać tu nam w niestannej walce przez tego Jewreja. Trzeba trochę spokojnie pożyć.

— To znaczy co? Czy żeby idąc na przykład przez Szabasową, był pan pewien, że widok zabitych tam ludzi nie wzruszy pana do głębi, a z kolei nie wpłynie niekorzystnie na sekretne działania limfy, czy jak to się tam nazywa?

— Ha! Ksiądz ma dziwny sposób wyglupiania się i spytywania człowieka z rozumu.

— Jak pan widzi, tak pan sądzi.

— Nie. Tylko dziwię się. Niech ksiądz rzuci do diabła to wszystko.

— Ach, panie Gail! — krzyknął Bańczycki. — Urodził się pan chyba wczoraj. Nie był ani godziny w gimnazjum, ani chwili na uniwersytecie.

— Przepraszam. Fakulet prawniczy mam. A zresztą. Wojna się przećga i jest już tak nudna, jak niedane małżeństwo. Ciągnie się. Strzelają, wytryskuje z organizmów kupa krwi.

— Walczycie.

— Pozwoli ksiądz, że usiądę jeszcze. Inflacja kłamstwa i bzdury w papierowych workach. Tak jakby nie. Wieczorami w radiu Bach wydzwania swoje tematy. Na pieterkach żołnierskie burdele, a wieniedzie z za krat wzierają oczy więźniów.

— Kryminały nie mogą być puste — zastękał Bańczycki i spojrział Gailowi w oczy.

— O!

— Co — o!?

— Plebania księdza jest pusta. A zdałoby się w tym czasie coś sobie przyjednać. Tyle ładnych Żydówek włoży się po lesie.

— Chciałby pan mieć tu taki rabelebajzel. Co?

— Dla ciekawości. Zapytam pana: jak długo może biec kobieta z dwójkiem dzieci na ręku?

— Po co biec?

— Uciekać przed śmiercią. A za kobietą gonią zdrowi parobcy w mazureczkach. Przystają i spod pachy plują kulkami w plecy. Błysk strachu i kobieta pada z dziećmi na zaskrudloną ziemię.

— Ksiądz jest człowiekiem, ze mną tak nie postąpi.

— Co ty wiesz o człowieku. Nikt nie wie o człowieku. Każdy pu-

Leopold BUCZKOWSKI

Rozmowa

w duchowym i przestrzennym znaczeniu. Czy tak?

— To domyślaj się. Po co od razu wartościujesz. Pal go szcąć.

— Ja rozumiem. Ludzie dziś muszą tłumić swe namiętności. Ich kłopoty nie są już prywatne. Chytrze słuchają opowieści nieprawdopodobnych, kończących się wścieklą katastrofą. Każdy człowiek chce przeżyć swój los w tajemnicy. Ludzie wreszcie są tym, czego pragną potajemnie.

— Ja się nie wywnetram. Gdyby przyszło do strzału, to to właśnie gdzieś ktoś nazwałby wścieklą katastrofą na plebanii w Huciskach. Zastaniawiam się właśnie, gdzie pana powiesimy.

— Dlaczego będziecie mnie wieszkać?

— Dla ciekawości. Zapytam pana: jak długo może biec kobieta z dwójkiem dzieci na ręku?

— Po co biec?

— Uciekać przed śmiercią. A za kobietą gonią zdrowi parobcy w mazureczkach. Przystają i spod pachy plują kulkami w plecy. Błysk strachu i kobieta pada z dziećmi na zaskrudloną ziemię.

— Ksiądz jest człowiekiem, ze mną tak nie postąpi.

— Co ty wiesz o człowieku. Nikt nie wie o człowieku. Każdy pu-

zasypane śniegiem drzewa, na słonecznych patyczkach siadają ptaszki. A tu ślad powłóczonego...

— Słuchaj pan! — zaryczał Bańczycki. — Kiedy oglądasz przedmioty twego dziecka, ścisła ci się serce. Oto widzisz go, sly-zysz głos, wpatrujesz się w jego czarne, połyskliwe oczy. Chciał też miała syna. Nie wiem czy to ty, ale na pewno ktoś z tego waszego kripo biegł za jej kilkuletnim synem. Gonił przez zamaznięte śady. Dagonił i zdarł czerwony kożuszek. Doprowadził pod krzak. Dziecko jeszcze biegało tyłem, jakby je ktoś zderzył mocno po czole. I upadło takie malutkie, że na śniegu już nie widać. Ja wiem... On, ten człowiek dorosły, wszedł z tym kożuskiem do Hanczarki i patefonem zagłuszał sumienie. Palilo go światło dzienne, dlatego wdział potem na łeb stalowy hełm ze swastyką i czarne okulary.

— I właśnie, niechby księżulko wysunął kulak, żeby mu pogrozić, wsadziłby bez wahania otowiankę pod płucę. Pluby ksiądz krwią, szukał ciężkimi rękami plotu i rybiemi oczyma straszłoby najbliższych.

— Jezusie Nazareński! Kto rzadzi tym światem?

— Stukanina.

— Powiada pan.

— Stukanina. Sam ksiądz chce mnie stuknąć jak psa.

— Tak. To by się trza zastanowić. Która godzina? Powiedz pan jeszcze, która godzina. Zależy mi na tym. Chciałoby się jeszcze z kimś naradzić. Bo to podobno jak się kogoś zabije — to tak jakby się siebie już zabiło.

— Dobrze. Zobaczymy kto mocniej szy — członek kripo czy dobrodziej z Hueisk.

— Ah, panie szpicelku. A chyba pan wdział starego Buchsbauma, jak leżał goły pod chmurnym niebem, wąsami do ziemi. Wiatr szarpał resztkami koszuli na wydołkowanych plecach, w rękawotym zagłębieniu stała krwawica. Obok dwie pajdy żar nowego chleba, cebula i kij wyglansowany twarda skuba.

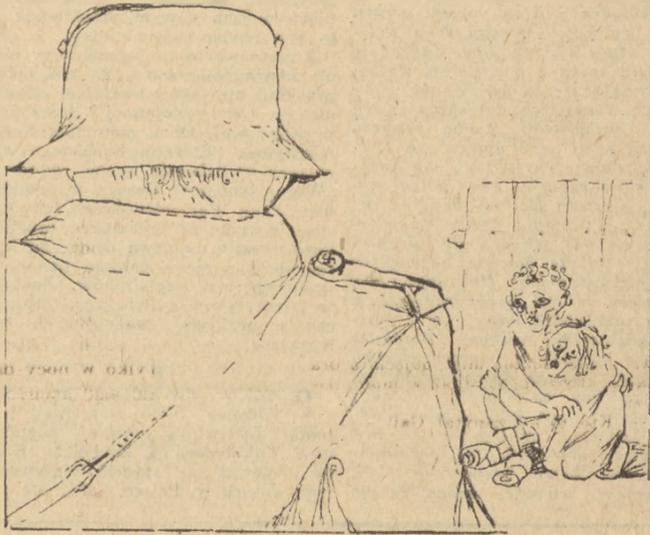
— Tak, widziałem. Robota Kurdiuka.

— A na grudach zmarzłej oziminy rozwalona dziewczyna. Ona u was służyła. Jeden warkocz na ustach wydzętych przez strzałę, studzińnowate oko. Podszycie na stopach półczochy, w garścach ziemia, m'mo mrozu. A na lewo mama rodzicielka, naga, ze strzepem odzienia na jednej nodze.

— Przymyślam. Teitelbaum wów czas, korzystając ze spokoju na szosie, zmykał przysiadym truchtem w pole. Patrol go zlornetował i palil do niego pojedynczymi strzałami. Kucał kosiasto, dopadł lasu i zniknął w czerni.

— Bańczycki podszedł do okna, otworzył je i krzyknął w ciemność:

— Wąskopyski!!!



— No nie. Ale jest różnica. Nie wydziałamy księdzu jeszcze cukru w pudełeczku od zapalek. A parasza nie stoi w kącie.

— Czy ja wiem.

— Sa takie, wyobrażam sobie, uśmiechają się. Wiedzą, czego się spodziewać od rozporka w spodniach.

— Och, jakiś ty mądry. Złodziej uczy psa tropicielstwa. Ja jestem jak pies, mam wszystko w nosie.

— To mniej więcej trzeba tak rozumieć: nie ma dla księdza obczyzny,

szcza z gęby banialuki, które mogłyby go uchronić. Powiedzmy sobie otwarcie: ty jesteś szpicel. I już. Cha otoczny moralnie, reszdtowaty w su mienu.

Gail jeszcze coś tam napomknął o bombach w Londynie i podszedł do drzwi na tych, jakby nigdy nie smarowanych nogach, zdawało się, że kwierzą, zapalone w podszyciu. Bańczycki mógł strzelić. Nawet jakby się przglądał śmierci szpicla. Głucha zima. Radośnie, kiedy między

Zygmunt LICHNIAK

Oskarżyciel zwycięski

JEDNA z najnowszych pozycji beletrystycznych „Paxu” jest „Oskarżenie” Reinholda Schneidera).

Ta objętościowo mala książeczka, licząca niecałe dwieście stron bardzo „dyskretnego” formatu, jest szczególnie cennym i godnym uwagi zjawiskiem. Najlepsza to chyba pozycja niemieckiego pisarza. A wydał on — w tym roku obchodząc pięćdziesiątą rocznicę urodzin i dwudziestą podjęcia pracy literackiej — przeszło dziesięć dzieł. Jednak „Las Casas vor Karl V”, bo tak brzmi tytuł oryginału, przewyższa zarówno zbyt apokaliptyczne w swej koncepcji ideowej „Trzęsienie ziemi”, jak i późniejsze tak poetyckie, jak prozatorskie utwory, czy to będzie „Sędzia dziejów”, „Władza i łaska”, czy — powojenne już „Myśli o pokoju” lub „Ocalenie Fausta”. Nad utworami tymi „Las Casas” góruje swą zawartością, siłą swego wyrazu artystycznego wynikającą z siły, z precyzji ideowej centralnego i arcyważnego problemu. W książce tej z największym szczęściem i zdecydowaniem wyraziła się ta cecha pisarstwa Reinholda Schneidera, która Johanna Schomera Wagnera w książce „Deutsche katholische Dichter der Gegenwart” wyd. Glock und Lutz in Nürnberg, 1950, S. 140 — 141) określiła jako zdolność łączenia w piękną jedność głębi myśli z żywiołem poetyckości.

Ale nie na tym polega szczególna wartość tej pozycji, która, po raz pierwszy wydana w roku 1938, w piętnaście lat później zasłużyła na wydanie drugie, a obecnie na przekład polski. Zastępuje ona na uwagę nie tylko jako najlensze dzieło Schneidera, któremu Aleksander Rogalski — za wieloma krytykami niemieckimi — przyznał w swoim przedśłowiu i w swojej książce o katolicyzmie niemieckim jedno z czołowych miejsc.

I nie na tym nawet polega zasadnicza wartość tego dzieła że przed piętnastu laty — co przypomina autor, wstęp do polskiego wydania — funkcjonowało ono jako artystycznie wyrażone memento w chwili zagrożenia Europy i świata

przez rozzuchwalony „Anschluss”, Austrii nacjonalizm hitlerowski. Główna wartość tej najsluszniej przypominanej książki leży głębiej, polega na wyrażeniu znacznie istotniejszego problemu.

Przeoczenie tego problemu, niedostrzeżenie go w pozornie prostej fabule opowieści historycznej równałoby się wyrządzeniu książce wielkiej krzywdy, zubożyłoby ją w sposób zbyt bolesny i dla niej, i dla autora, i dla czytelników, które podjęły trud przyswojenia jej naszej literaturze, no i wreszcie — co chyba najważniejsze — zubożyłoby czytelników. Pierwsze zwycięstwo pisarza polega tu na wykluczeniu takiej ewentualności. Książka swoją metaforyczność nakazuje odczytać prawdziwie.

Tylko pozornie jest ot, taką sobie, dobrze napisaną, inteligentnie zrobioną beletrystyczną trawestacją epizodu z historii szesnastowiecznej Hiszpanii, kolonizującej kraj Indian. W rzeczywistości stanowi bowiem odważny, na wskroś współczesny moralitet polityczny, katolicki moralitet polityczny.

Fabula niby zwykła. Pobożny misjonarz Las Casas dojrzał okrucieństwo i potworną zaborczość „chrześcijańskiej” krucjaty Hiszpanów w kolonizowanej przez nich Ameryce. Przygodkowo zetknięcie z jednym ze skruszonych kolonizatorów, kawalerem Bernardino, jego opowieści dopełniają wstrząsający obrazem. Szlachetny ksiądz staje w obronie Indian, Walczy w publicznej dysputie z obrońcą „chrześcijańskiej” krucjaty, doktorem Sepulveda. Dyskusji przysłuchuje się Karol V. Chytróść Sepulvedy zdaje się brać górę nad szlachetnością wywodów księdza Las Casas. Jednak jego żarliwość i zeznanie kawalera Bernardino przeważają szale. Karol V staje po stronie sprawiedliwości. Dekret królewski przywraca Indianom wolność. Las Casas jako biskup wyjeżdża do Chiappy. Koniec.

Ale za tym wszystkim, a raczej w tym wszystkim jest coś więcej. To „coś” decyduje o istocie książki. Tym „czymś” jest wielkość i słusność przemawiającej przez nią idei, której jest poświęcona i której zawdzięcza swoją dzisiejszą, chciałoby się powiedzieć — zintensyfikowaną żywotność.

Odczytajmy tę ideę pełni poczucia ważności sprawy. Czego domaga się Las Casas? O co walczy? Co mu dyktuje sumienie kapłana, obowiązek misjonarza, wiara głębokiego katolika? Przeciwno czemu protestuje? Z kim toczy bój? Kogo w społeczeństwie katolickim — sam z nią — „człowiekiem” uważa — atakuje pełen poczucia słusności swojej sprawy?

Las Casas domaga się wolności dla uciskanych narodów. Walczy o prawo miłości między narodami. Sumienie kapłana dyktuje mu konieczność nienisienia pociechy i światła bliźniemu, a nie gorczy podboju i ciemności niewoli. Obowiązek misjonarza nakazuje „Judy poznać nie w wojnie, lecz w pokoju”, nakazuje nie brać, lecz dawać. Protestuje przeciwko gwałtom, siłę zaborczych kolonizatorów, przeciwko uciskowi narodu nad narodem. Toczy bój z bojownikami „krucjaty”, których najgłębsze przekonanie wyraża myśl, że „bez miłości świat nie stanie się czysty”. Atakuje w społeczeństwie katolickiej tych, którzy autorzytet religii, autorzytet Tronu Piotrowego wiążą ze swoimi politycznymi, grabieżczymi planami.

Porywająca dysputa, którą toczy Las Casas z doktorem Sepulveda, a która przetrada się w wielkie oskarżenie sorzeźnych z duchem katolicyzmu, choć firmowanych samozwańcym katolicyzmem postaw, ma miejsce w XVI wieku. Napisał ją autor XX wieku. I jest ona dyskusją, jest oskarżeniem, które trwa. Las Casas walczy z Sepulveda anno Domini 1953! W tym sens książka.

Sens protestu, sens słusznego oskarżenia, rzuconego przez „ojca Indian” — czy autor w pełni tak to zamierzył, czy nie — ma dzisiaj swoją konkretną wymowę.

Ksiądz Las Casas protestuje przeciwko pseudochrześcijańskiej krucjacie nie tylko jako prawy człowiek, lecz znoszący krzywdy innych ludzi i innych ludów, ale także jako katolik, który rozumie i cierpi nad tym, że wielka, święta sprawa religii, wielka, święta sprawa Kościoła osmielono się zaangażować, nadużyć, w ogóle używać w rozgrywkach politycznych. Ksiądz Las Casas widzi ogromną — najdelikatniej mówiąc — nieprawidłowość tej postawy, widzi potworny błąd, tragiczne konsekwencje tego błędu. „Bom ja słyszał — powiada — przekleństwa tych, którym głosiłem Ewangelię miłości i patrzyłem bezradnie, jak umierający odmawiali przyjęcia sakramentu, aby nie dostać się do raju Hiszpanów”. Chciałoby się, aby te słowa były wybite w książce wersalikami, aby wryły się w pamięć wszystkich, aby stały się przedmiotem głębokiej refleksji i głębokiego przeżycia. Zawarta jest w nich wielka prawda, którą i dzisiaj — w języku naszej „epoki” — głosić trzeba.

Gdyby językiem naszej epoki przemawiał ksiądz Las Casas, słyszełbyśmy od niego najpiękniejszą obronę zasady, którą dziś nazywamy zasadą samostanowienia narodów. Gdyby językiem naszej epoki przemawiał ksiądz Las Casas, jego protest przeciwko Sepulvedzie stałby się protestem przeciwko

* Reinhold Schneider: „Oskarżenie”, H. Jerzy Gawroński. Słowo wstępne: Aleksander Rogalski; redaktor Jerzy Krzysztoń; wyd. „Pax”, Warszawa 1953, str. 138.

rys. Jarosław SOWIŃSKI

Aleksander Prokofiew

ciemności

— Kto go sprzątnął? — zapytał Chaim, krojąc scyzorykiem zastygłą kaszę; podał kawał Dudi i sam zjadł łapczywie.
— Umiał się bronić, nawet nie myślałem, że taki sprytny.
— Im większa kanalia, tym bardziej umie się bronić — rzekł Chaim powściągnąwszy swoje zadowolenie.
— Chuni dostał od niego nożem.
— Jednak Chuni dopił swego.
— Chuni! On ściga ziemię, która mknie na wietrze! A te dzieci Hyndy Głās, wzięte pod zastaw za bezpieczeństwo Gaila? Co teraz te dzieci?

— Uspokój się. Nie można się było wlec dalej z tym szpiclem na plecach.

— Chętnie bym znikł lub zapadł się pod ziemię. To wszystko razem bardzo ponura rzecz, pe dzie życie wśród rozdzielających krzyków mordowanych ludzi, przypatrywać się zamazaniu dzieci z nagimi szyjami w śniegu. Nawet jak mi się tu ptak pojawi na drzewie — śledzę go jak wroga, to wszystko znuża mnie do podtrzymywania w sobie drętwej złości podejrzenia. Nie można tak żyć. Przykra perspektywa, raz na zawsze.

— Zaroilo się koło ciebie teraz od niebezpieczeństwa i czynów walecznych. No nie?

— Ale Boże — zastękał Bańcyczki. — Jakże smutno jest parać się z tym wszystkim. Masz ty broń?

— Mam. Dlaczego pytasz?

— Wcham sprawę, co z tego może wynikać w najbliższych godzinach. Dwa dni trwała sprawa z Gailem, dziś miał wrócić do Szabasowej ze swej społecznej wędrowki. Żandar mi podejma drogę. Dlatego też trzeba by rozpalić w piecu i ugotować coś ciepłego, nim coś zajdzie nowego.

Chaim wydobyl z siennika wiecheć słomy, porabiał drewnianą żalonę do pieca chlebowego i rozpalił. Milczeli, a kiedy już ogień zagrał pod blachą dzwoniąc obwisłą zasuwką, Bańcyczki wypogodzonym tonem powiedział: — Waskopyski podał mi rękę, bo ja mu powiedziałem: dobra jest! Tak, to nie łatwa sprawa zgodzić się na coś takiego. Chuni był inny; wrócił jeszcze, obejrzał się, jakby szukając zapomnianej rzeczy. Powiedział do mnie: „Zjemy na tym świecie niby na pokucie — psakrew”. Przyszli jeszcze do mnie po pół godziny, ale nie po to, żeby mi opowiedzieć, ale aby ręce wymyć!

Nie nie pizeczowałem tego wieczora — ciągnął ksiądz — kiedy wszedł Gail zamieciony śniegiem i odezwał się tym swoim tenorkiem:

— Ach, to tak, dobrodzieju. Zajadamy sobie ciepła zupkę, a dzieci żyłowskie zamierzają na kość w pustej tocie!

— Tak, wiem — powiedziałem, nie podając mu ręki — nie w mojej stodołę. Wiem, co pan chce przez to powiedzieć. Ten temat trzyma się pana niecierpliwie. Niech pan s'ada i niech pan powie, co pana ścigało do mnie.

Gail siadł na prawo ode mnie, popatrzył mi ironicznie w oczy, zdjął czapkę i powiedział:

— Znowu ta sama sprawa. Ja siedziałem na swoim miejscu z

bierając minę wielkiego przynębnia. Strzepnąwszy dużym palcem popiół z papierosa, nadał głosowi sympatycznie brzmienie:

— Wpadł ksiądz w tę wstrętą egzystencję żydowską, nadziana kaprawym strachem. Zbyt dobrze ksiądz wie, co chce powiedzieć. Od tego należy się oderwać. To jest sprawa ciężka, pewnie, ale to trzeba zrobić...

Powiedziałem mu: kilka słów trafnie dobranych, nie więcej.

— Proszę pana. Nie jestem przerażony ani tym, co ma za sobą, ani perspektywą, jaką mi zakreśliłicie w swojej polityce. Ja wyruszyłem na świat przystojnie, Brewerie, w rodzaju waszych, zuchwałstwa wyległe pod czaszką zbrodnia niepokoją mnie, ale nie dam się sprowokować. Pan jest skaleczoną jednostką ludzką.

Wstałem, aby zachwyć cię tehu. I w tym momencie kula przebiła oparcie mego krzesła. W ten sposób przeznaczenie na pewno wykreśla drogę człowieka. Gail też wstał, wydobyl rewolwer i począł żuć war gami, jakby delektując się czymś smacznym. Przypatrywałem mu się przez chwilę z dziwną pilnością. Przecwatawałem w myśli całe swoje życie, pełne, jak ci wiadomo, nieba, ziemi, słońca i gólgoty przebrzydłej. Cokolwiek uspokojony, zacząłem ziewać do rozdarcia szczęki. W milczeniu pytałimy się oczyma, co oznacza ten strzał.

Gail zgasił latarkę. Oto życie w swej właściwej postaci — wielkości i brzydoty.

Zaczął wyc jak oszalały, chociaż dwa wystrzały z karabinu na podwórzu nie były wymierzone w jego skoła postać. Okrucieństwo człowieka! — nie możesz mieć pojęcia o dramacie, który rozwijał się w moim pobliżu.

— Kto to — zapytał Gail.
— To chyba onj — odezwałem się, nie dbając już o nic. — Tu ktoś inny zastąpi prokuratora, niech się pan uspokoi. Na nic ten lament.

Widziałem, jak Gail celował powoli w okno, za którym, przez mętnej bieli, już nic nie widziałem. Może on ze swego miejsca widział ich. Buchnął głośny huk i rzeczywiście zrobiło się pod oknem jakieś zamieszanie: dwie postacie wyciągnęły się w mroku. Odpowiedziały strzały. Drzwiami od kuchni wbiegł Chuni i krzyknął, Gail rzucił broń. Dłuższą chwilę został wili go na pozór w spokoju. Widziałem, że parę razy zapaliła się zapalniczka i wyszedłem, bo czulem, że mi się robi słabo. Brak mi było czegós. W progu na werandzie odetchnąłem świeżym powietrzem“.



twarzą ukrytą w dloniach, ach, Boże, jak ciężka droga w Kalwarji tego świata.

Wbijając uparcie spojrzenie w koniciec swoich butów, słuchałem.

— Obiecał dobrodziej zapośredniczyć w sprawie tych uwieczonych dzieci na posterunku hilfspolicii“.

Po krótkiej przerwie dodał: — Zgodziliśmy się, skonfiskowawszy dolary, puścić go do czorta. Zaczem — jak widać — sprawa w niczym nie posunęła się dalej. Wydawało mi się, że porozumieliśmy się do tego stopnia. Ale jeden z nas pozbawiony jest dobrej woli.

Moje milczenie i cisza dokola nas obydwu przyprawiła mnie o zawrót głowy.

— Dzień dobry — zawołał Gail, obudziliśmy mnie z drętwej rozpacz.

— Dzień dobry — odpowiedziałem i złość mnie ogarnęła, bo to było nie innego, jak pociąganie biednego człowieka za nos. O niebo i ziemio! — ty bez końca ludzka nadziejo! Bandyto — pomyślałem sobie — bandyto, łowiący mimochodem drobne owady, wydaje ci się, że biegniesz ludzką ścieżką, kark ci drętwieje.

— Serce mi się wzdyma na to wszystko — powiedziałem głośno.

— A tak, może się wzdymać. Ksiądz już jest tak osaczony przez samotność, że bandyci w rodzaju Szeruckiego, Chuni, Szajji wydają się je dynymi przyjaciami. — Wyszeptał — Biedny człowiek z księdza. Twarz szpicla wydłużyła się, przy-

ODPOWIEDZ

Śpią w głębi ziemi wszystkiego niepomi i spać tak będą co dnia.
Nie zapomnieliśmy i nie zapomnim: zapomnieć ich to zbrodnia.

Pod Moskwą śpią i śpią pod Pragę i tam, gdzie mórz bezbrzeże. Śpią pod czerwoną dumną flagą, w mogiłach bratnich leżą.

My na obszarach ziemi ukochanej, czy to w dolinie, czy na górskim stoku śmierci grożącej dziś zza oceanu stawiamy zgodnie opór.

Nie chcemy, żeby rosły znów mogiły na wszystkich globu naszego połaciach. Nie wymazaliśmy z pamięci miłych i bliskich nam przyjaciół,

co padli aby dzień się świecił w ojczyźnie naszych serc; za siebie i za swoje dzieci mówimy: „Wojnie śmierć!“ Tej, co się zwiesza nad zbóż łanem ciemnością chmur zza oceanu.

Michał Świątłow

PIEŚŃ O ZAMIECI

Wicher chaty dokoła zaśnieżył.
Nic nie widać, kurniawa, że hej!
Zamieć wyje i prosi żołnierza.
— Pozwól spocząć na piersi mi swej.

Jeszcze muszę się kręcić nad ziemią, pośród lasów tych krząć i pół.
Chcę odpocząć i trochę się zdrzemnąć na twym sercu, co drwi sobie z kul. —

Na to żołnierz serdecznie jej powie:
— Zgoda. Kładź się. Nie trzeba tu słów.
Tylko w nocy daj spocząć mej głowie, nie macz nocnych widziadeł i snu! —

Gdy przylgnęła do serca żołnierza, jasny miesiąc wypłynął zza wierzb, chaty płoną nad rzeki wybrzeżem — zamieć śpi i żołnierz usnął też.

Świt obudził ich ze snu oboje, zamieć szepce: — Żołnierzu mój, dziś za twą dobroć, za serce to twoje chcę ci służyć, za tobą wciąż iść! —

Zaspiewajcie więc piosnkę wraz z nami, jak to w walkach duch w każdym z nas rości, jak to żołnierz rosyjski swą zamieć do niemieckiej stolicy aż niósł!

tłum. Kazimierz Andrzej JAWORSKI

tragicznie fałszywej zasadzie katolickiej immanencji politycznej. Niech nam nie przeszkadza to, że żył w XVI wieku. Stano za jego słowami męstwo pięknej walki. Żyje on więc i w wieku XX. I domaga się zrozumienia.

I jest wielką zasługą, wielkim osiągnięciem p sarskim Reinholda Schneidera, że głos zwycięskiego oskarżyciela brzmi tak mocno, czysto, przekonująco.

I DEA książki nie miałyby tej sily, jaką ku sobie zjednać I musi czytelników, gdyby dzelo nie było owocem trudu dojrzalego artysty. Jest proste, czyste i mocne. Reinhold Schneider zrezygnował z łatwych ozdobników, których zawsze unika prawdziwie przeżyta sztuka. Bogactwo jego książki jest bogactwem widzenia świata, widzenia w głąb. Schneider dynamizuje swoje dzieło nie poprzez akcję zewnętrzna, nie poprzez jakieś złożone sytuacje, spiętrzające się w karambole sytuacyjne, lecz poprzez ważkość czy trzęsłość związków między rzeczami i między zjawiskami. Opis polowania na pług: nie jest tylko pisarskim zwroćtem oczu na barwność obrazu, natychmiast staje się funkcją myśli głównego bohatera. Dialog przed Karolem V jest dramatyczny nie tylko przez polem czną przeciwstawność dyskutantów, lecz przede wszystkim przez moralną przeciwstawność ich postaw. Konflikty sytuacji czy ludzi są konfliktami idei. Oczywiście: idee wpisanych w ludzi i sytuacje.

Tej — jak słusznie zwrzużono — ascetycznej niemal ekonomii środków artystycznych w komponowaniu fabuły, akcji, wątków osobowych podporządkował się język powieści, który — podobnie do jej struktury — jest maksymalnie prosty, a jednocześnie poetycki, barwny, wielowymiarowy. Czytając oryginalnie na sie wrażenie obcowania z mową faktów, dla których słowo jest tylko koniecznym zapisem. Tłumacz polski, Jerzy Gawroński, z wielką troskliwością dbał o to, aby jak najmniej z tego bogactwa prostoty uronił.

Książka jest — podkreślić to warto raz jeszcze — wielkim zwycięstwem pisarza. Potwierdzeniem tego zwycięstwa jest jej nowy żywot. Zawsze takich potwierdzeń doczekają się artyści, którzy potrafia dobrać prawdę świata, nozornie i wnikliwie, nozornie tylko historyczną, a w istocie prawdę. Książka ta, która w swym sposobie wyrażenia musi, by zerpać z niej mądrość dążenia ku lepszemu światu.

Zygmunt Liechmak

Jerzy GAWROŃSKI

Uwagi tłumacza

NIA uprzejmie zaproszenie Redakcji „Dziś i Jutro“, z całą chęcią biorąc udział w dyskusji nad „Oskarżeniem“ Schneidera, jako tłumacz tej powieści na język polski. Ale też pragnę uczestniczyć w dyskusji tylko jako tłumacz. Mówię więc będę o stylu autora, a może raczej o stylu... tłumacza: o trudnościach i o tych (jak powiada Heine) „lubych troskach“, jakie tłumaczowi nastreżają jego prace.

Nec verbo verbum curabis reddere fidus

Interpres...

— tak pociął Mistrz Horacy swych przyjaciół Pizonów: „Nie będziesz się kwapił, jako wierny tłumacz, oddawać słowo słowem“. A Marcus Tullius Cicero, nie tylko przepysznym stylistą i mówcą, lecz i tłumacz, który między innymi przelozył na łacinę mowy Eschynesa i Demostenesa, w przedmowie do tego tłumaczenia napisał, że nie uważał za konieczne oddawać w nim „słowo za słowem“ tekstów oryginalnych i dodał: „Byłem bowiem zdania, że nie muszą czytelnikowi odliczać (słów), lecz je niejako odważać“.

„Odważać“ słowa autora, nie „odliczać“... a zatem oddawać w przekładzie nie tylko treść, lecz i nastroj duchowy oryginału. Jakże krótko i jedynie wyrażona całość postulatów, które dziś stawiamy tłumaczowi i jego pracy: — Tłumacz winien trzymać się zasady „ściślości filologicznej“ — słusznie. Winien przestrzegać zasady, którą pozwalał sobie nazwać zasadą „upodobnienia stylu“ — także słusznie. Ale obie te zasady, powiedziałbym, natury formalnej, nie wystarczają. A gdyby je stosować ślepo i bezdusznie, sprawiłyby, że przekład stałby się dziwolągłem. „Nec verbo verbum...“ Trzeba jeszcze, by tłumacz jak najbliższ zżył się z utworem tłumaczonym i z jego autorem, by — wyrażając się paradoksalnie — wcielił się w jego duszę: wtedy dopiero może nie „tłumaczyć“ go słowo w słowo ani go „naśladować“, lecz „odważać“ — „nachdichten“, jak mówią Niemcy.

Te uwagi o zasadach i sposobie tłumaczenia podaje tu w najbardziej skondensowanej postaci na to, aby się usprawiedliwić. Bo w swym przekładzie „Oskarżenia“ nie tłumaczyłem oryginału „słowo za słowem“, ba — nie zawsze trzymałem się zasady „upodobnienia stylu“. Niemniej starałem się ucylnić wszystko, by

w przekładzie tym oddać treść, formę i ducha oryginału i przez to zbliżyć się, wedle możności, do ideału tłumaczenia. Ideałem zaś doskonałego przekładu jest — moim zdaniem — takie oddanie oryginału w obcym języku, by osoba znająca zarówno język oryginału, jak przekładu, przeczytawszy wplerw oryginał, odniosła przy lekturze przekładu wrażenie, że czyta oryginał po raz wtóry.

A teraz, możliwie najkrócej, o stylu „Oskarżenia“. Styl Schneidera uważam za doskonały: styl typowo „fabularny“, znakomicie dostosowany do epoki powieści, do tendencji autora, do całej treści utworu. Ale Schneider jest Niemcem, styl jego musi więc posiadać wszystkie cechy, charakterystyczne dla stylu Niemca; a między innymi — zdania jego muszą być długie. Skłonność do budowania zdań długich jest bowiem wynikiem właściwej Niemcom metody myślenia. Niemiec nie myśli szybko, ale za to myśli dokładnie i w szczególny sposób: już w czasie budowania swych myśli traktuje je jako przesłanki do dalszych wniosków i oddaje te myśli w postaci gotowych już sylogizmów, jako jedną całość stylistyczną. Jest to metoda niewątpliwie dokładna i teoretycznie biorąc jasna, bo zbliża wnioski do praktycznej formy myśli, ale w praktyce podlega za sobą to, że wyrażona w takiej formie myśl jest wskutek swej ciągłości długa i zagmatwana. I tym samym nuży słuchacza czy czytelnika. Myśl, jeśli ma być wypowiedziana dokładnie, nie musi być ciągła, można ją podzielić na parę części. Wtedy odda się ją z równą dokładnością, ale w sposób bardziej zrozumiały lub choćby tylko bardziej barwny. Taka wszakże metoda myślenia krótkimi myślami jest psychicznie Niemca obca, toteż budowane przez niego zdania są z reguły długie, „tasiemcowe“.

Czyżby styl Schneidera był także „tasiemcowy“? — I tak, i nie. Tak, bo zdania się, że jedno zdanie ciągnie się u niego przez pół strony; nie, bo Schneider, pragnąc styl swój uprościć i ubarwnić, rozdziela te tasiemce średnikami — czasem w jednym zdaniu natarfiamy u niego na 4-5 średników. A zatem wniosek: styl, jak na język niemiecki, niezwykle barwny; niemniej zdania dla Polaka zbyt długie.

Nie chcąc tedy czytelnika polskiego nużyć reprodukowaniem w przekładzie tej właściwości stylu oryginału, znalazłem się między młotem a kowadłem — między zasadą „upodobnienia stylu“ a koniecznością przystosowania tekstu polskiego do metody myślenia Polaka, do sposobu myślenia myślami krótkimi. Wybrałem tedy drogę pośrednią: w wielu miejscach zastępowałem w przekładzie średniki oryginału kropkami, nawiązując nieraz jakimś spójni-

(Dokończenie na str. 8)

O GLĄDAMY obecnie w Muzeum Narodowym w Warszawie największą naukową wystawę, jaką kiedykolwiek oglądała Polska. Stanowiącą pendant do wystawy Oświecenia sprzed dwóch lat — przewyższa ją znacznie ramowo i objętościowo. Obejmuje 41 sal. Ilustruje ekspozycje dostarczone przez 70 przeszło instytucji. Sam tylko przewodnik liczy sobie 126 stron plus 64 ilustracje! W organizacji współpracowało 50 naukowców plastycznych, plus cały sztab projektantów i wykonawców graficznych. Przygotowania trwały pół roku plus półtora roku.

Ten podwójny sposób liczenia ma na celu coś więcej, jak tylko filuterność sprawozdawcy. Chodzi o to, że wystawa oprócz swej roli „normalnej” spełnia też rolę doświadczenia. Jest metodologicznym eksperymentem.



Ratusz w Tarnowie przebudowany w II połowie XVI w. w stylu renesansowym

tem. Zastosowano tu novum techniczne, polegające na redagowaniu scenariusza jednocześnie z organizowaniem wystawy. Ogólne dotychczas przyjęta zasada było, że scenariusz powstawał przed wystawą i stanowił niejako jej matkę. Zasada ta obowiązywała naturalnie i przy wystawie Odrodzenia, ale tylko w pewnym stopniu. Albowiem kierownictwo naukowe stanęło tym razem na stanowisku, że wystawa powinna nie tylko podsumowywać czy ilustrować osiągnięcia nauki, ale również z nimi współpracować. Czy takie stanowisko jest słuszne? Czy w ogóle jest do przyjęcia?

Powiedzmy sobie przede wszystkim: problem nie jest nowy. Wiadomo przecież, że znaczenie niektórychmalarzy pojęto dopiero wówczas, gdy zgrupowano po raz pierwszy na jednym miejscu całość ich dzieł. Jeżeli chodzi o wystawę Odrodzenia, to koncepcja organizatorów poszła znacznie dalej. Słuszność jej oceniał fachowiec. Niewątpliwie — nie ułatwiła ona zadania organizatorom ani personelowi technicznemu. Zwiększyła koszty, wysiłek i czas. Z drugiej strony wiadomo, że nie te koncepcje są najlepsze, które wymagają najmniejszego nakładu energii. Dziś już spotykamy się z opinią ludzi sztuki, iż same prace wystawowe walczyły się przyczyniły do opracowywania takich na przykład zagadnień, jak: wstępowanie pierwiastków rodzimych w architekturze polskiej, Wawel, zamek baranowski — ten ostatni dopiero po wystawie doczeka się prawdopodobnie swej monografii.

W tym znaczeniu użyto powyżej określenia, że przygotowania do wystawy trwały pół plus półtora roku: pół roku trwały przygotowania techniczne, natomiast naukowe rozpoczęto znacznie wcześniej. Sesja naukowa PAN-u odbywająca się współzależnie z otwarciem wystawy czerpała z wysiłków i osiągnięć naukowych jej twórców. I to jest pierwsze osiągnięcie wystawy.

O SIĄGNIĘCIU drugie powinno być dydaktyczne. Winno pouczyć możliwie największą ilość zwiedzających o zagadnieniach związanych z Odrodzeniem. W jakiej mierze spełni wystawa ten warunek? —

Marian RADAWIAK

Wystawa Odrodzenia

Osobiście oglądałem już ją pięciokrotnie, poświęcając zwiedzaniu każdorazowo po parę godzin. I jakkolwiek zdążyłem się już niejednemu nauczyć, to jednak wychodziłem zawsze do pewnego stopnia zgnębiony, nie tyle własną ignorancją — o tej zakładam, iż jest ogromna — ile obawą niemożności poprawy tego stanu rzeczy, za pomocą środków dostępnych inteligentowi — średniakowi. Bo przecież te jakieś 20 godzin spędzonych sumarycznie na wystawie — to mnóstwo czasu, to powiedzmy sobie od razu — znacznie więcej, niż na to sobie pozwoli, czy pozwolić zechce 99% zwiedzających.

Powie ktoś, że to nie argument. Powie słusznie. Tematu takiego, jak Odrodzenie, niepodobna zamknąć w rozmiarach trzech, a nawet trzydziestu sal. A komu się to nie podobaba — ten może pozostać w domu.

Zapewne. Jednakże spotkałem się z opinią, pod którą się nie podpisuję, ale którą pragnę zasygnalizować, że wystawa jest albo za duża, albo za mała. Za duża, by jednorazowe (zatem najczęstszy typ) zwiedzanie mogło pozostawić coś więcej, ponad znużenie i obraz chaosu. Za mała, by tej mniejszości, która zada sobie trud wielokrotnego zwiedzania — mogła dać wyczerpujący obraz polskiego Odrodzenia.

Weźmy dla przykładu z tej i owej dziedziny: brak prawie kompletny danych odnośnie życia prywatnego, meblarstwa, urzędowania wewnątrz mieszkalnych, sposobu odżywiania się, kostiumologii. Bo jeden, czy drugi obraz Moellera lub kodeks Baltazara Bema nie zaspokajają naszej w tym względzie ciekawości. Albo: ruch odrodzeniowy pokazano nam łącznie z jego historyczną genetyką, przy uwzględnieniu rozległych europejskich afiliacji; tym chyba należy tłumaczyć umieszczenie portretów Locke'a i Spinozy w sali arian. W takim kontekście wydaje się niekonsekwentną poświęcenie Długoszowi skromnego stosunkowo stoiska.

JEDNAKŻE nie moja jest rzecz oceniać, tylko — referować. Więc referuję dalej: czynnik kompetentny posiadający gotowy kontrargument na powyższe zarzuty. Twierdzą, iż wspaniale, że wystawa jest tak znacznych rozmiarów — podzielono ją na trzy działy, z których każdy można zwiedzać jako zamkniętą całość. Stąd nawet powtarzanie się zagadnień, na wet ilustracji. Rozpatrzone od tej strony posiada wystawa trzy odrębne oblicza. Oblicze działu historycznego — surowe, trudne i fachowe, z wyrazną przewagą problemowości, cytata, cyfr i wykresów, niekiedy bardzo przejrzystych, niekiedy — mniej przejrzystych (sala 3 — 5, materiały odnośnie do gospodarki czynszowej). Oblicze działu trzeciego, gdzie przeważają materiały plastyczne, werbalistyka zaś zredukowana jest do koniecznego i nie nadmiernego minimum. Oblicze działu piśmiennictwa i nauki — pośrednie. Tę trójść narzuca sam temat.

Albo — czy zawsze? Powiedziano, że dział pierwszy jest działem trudnym, przez który przechodzimy się mozolnie. Ale tylko w pierwszej połowie. Bo już począwszy od sali Modrzewskiego — atmosfera się zmienia, straszliwe kolumny cyfr ulegają zmniejszeniu, cytaty — skróceniu. Sala 8 ze swoją wyraźnie „ciężką” problematyką eksportu zboża i rozwoju folwarku pańszczyźnianego nie nuży nas ani trochę.

Może odgrywają tu rolę umiejętne rozwiązania graficzne? Weźmy pod uwagę taki choćby, drobny fakt: sale 3, 4 i 5 pomysłane są efektywnie, ale ich rozwiązanie nie zawsze daje odpowiedź na pytanie „dlaczego”. Choć to brzmieć może paradoksalnie, wydaje mi się, iż w plastyce, bardziej niż gdzie indziej, musimy umieć

odpowiedzieć na pytanie „dlaczego”. Otóż na przykład nie bardzo rozumiem, dlaczego stoiska we wspomnianych salach pomalowane są w białoniebieskie „morwitany”, dlaczego użyto tam tak wiele fioleto. Natomiast rozumiem natychmiast, dlaczego sala gospodarki zbożowej jest żółta, dlaczego sala Modrzewskiego wprowadza zespoły barw wybitnie renesansowe. Nie rozumiem, czemu sala 26 — sala „metody” posiada wzdłuż ścian coś w rodzaju listw drzewnych, rozumiem natomiast dlaczego sale 15 i 16, obrazujące początek Odrodzenia w Polsce, szczególnie tchną jasnością, barwą, weselem. Wracając do wspomnianych już sal 3 — 5 (poświęconych problematyce społeczno-gospodarczej) — sądzę, iż zyskałyby one znacznie na przejrzystości, gdyby w nich bardziej uwzględniono hierarchię graficzną, kolejność ważności graficznego elementu, innymi słowy, gdyby projektanci wystawy wybili wyraźniej jeden, centralny, najważniejszy moment — kosztem innych.

Chciałoby się powiedzieć: rozwiązaniem graficzne, dające przejrzystą odpowiedź na pytanie „dlaczego” — jest wszystkim. Ostatecznie po to istnieją wystawy problemowe, by zwiedzający mógł uzupełnić swoją wiedzę o świecie w sposób trwały a szybki. Te dwa warunki są sprawdzianem jakości wystawy. Ustawicznie wszak brakuje nam czasu. Żyjemy w epoce pośpiechu.

Należy obiektywnie stwierdzić, że rozwiązanie graficzne wystawy jest dobre, tzn. wprowadza nas w klimat epoki, pozwala przyswajać wiedzę o Odrodzeniu niejako samoistnie, już zanim wnikniemy się w tekst. Jakież jest narzędzie działania? Pierwszy warunek: oszczędność tekstu. Nie po to przychodzimy na wystawę, żeby czytać. Chcemy widzieć. Drugi warunek: prawo kontrastu. Ten warunek spełnia konsekwentnie cała niemal wystawa. Jeżeli lewa strona sali obrazuje ciemnotę — prawa obrazuje postęp. Jeżeli lewa ilustruje kulturę mieszczańską — prawa ilustruje magnacką. Na dole tekst — u góry tryz. Trzeci warunek: warunek klimatu. Gąbłoty stylizowane na epokę, specjalnie zasluzujące na omówienie tkaniny z wistry Anieli Bogusławskiej, liternictwo. Taką salą, która niezbyt bogata w ekspozycje pozostawia doskonałe wrażenie ogólne z epoki — jest sala 38, w szczególności zaś zespół pomników nagrobkowych.

Jednakże widz odnosi wrażenie, że i na tym odcinku, na odcinku rozwiązań graficznych wystawa spełnia rolę eksperymentu sztuki wystawieniowej. Albowiem sale działu 2 (piśmiennictwa) są wybitnie stylizowa-

ne, tak że zwiedzający mógłby mniemać, iż sala 16, sala Akademii Krakowskiej wraz z księgozbiorem Czapla jest autentyczną salą z epoki. Natomiast organizatorzy działu sztuki zastosowali inną metodę stylizacji daleko oszczędniejszej, sale są surowe, ściany — nagie i w tym wnętrzu niemalże nowoczesnym tkwią ekspozycje renesansowe. Która metoda jest lepsza? Pierwsza, jak się rzekło — wprowadza nas w klimat epoki. Będzie to raczej metoda kształcąca dla widza mniej przygotowanego, z tym jednak zastrzeżeniem, by został on dokładnie poinformowany, co jest autentycznym, co — stylizacją.

W SZYSTKO to oczywiście pod podwójnym warunkiem: nienaruszenia prawdy historycznej i jej rozwinięcia. Uczynić zadość obu tym warunkom jednocześnie nie jest łatwo, gdyż rozwój da poszukiwanie, poszukiwanie zakłada możliwość pomyłki. Wielką zasługą twórców wystawy z jej komisarzem, prof. Stanisławem Lorentzem na czele, jest wysiłek nowoczesnego, naukowego oświetlenia problematyki Odrodzenia, obalenia szeregu błędnych aksjomatów nauki burżuazyjnej, uwypuklenie nie dopracowanych dotychczas zagadnień. I znów nie pokusimy się o syntezę, pozostawiając ją fachowcom. Wystawa ma wszak uczestniczyć w pracach PAN-u. Niech wolno będzie jednak na tym miejscu zasygnalizować takie problemy, jak rola husytyzmu i arian w kształtowaniu się polskiej myśli postepowej; potrójne czynszownictwo: pieniężne, naturalne i pańszczyźniane; rozwój idei państwowej w epoce jagiellońskiej; różność roli magnaterii i mieszczaństwa ich oddziaływaniu na narodową kulturę; wybiecie pierwiastka ludowego (świąteczny pomysł „liber chamorum” z sali 29 opracowany przez Zofię Niesiołowską, albo doskonałe kopie polichromii ludowych szkoły Samostrzelnika — sala 37), ale obok tego — niech wolno będzie się zdziwić ze sformułowań typu: „szczególny nacisk kładziemy na źródło odrodzenia nauk medycznych związane z rozwojem życia miejskiego, z rosnącą ceną zdrowia człowieka i jego zdolności do pracy, z renesansowym odwróceniem się od ascezy, hysterii i kultu śmierci” (str. 58 przewodnika po wystawie, podkreślenia moje). Czy aby nie nazbyt pochopne jest takie wbadanie do wspólnego worka ascezy i hysterii? Albo — niżej, na str. 59: „Najważniejszą jednak sprawą — jest ogólny postęp wiedzy lekarskiej, polegający na tym, iż z większym przesądem, teologii i astrologii wyrasta powoli empiryczna wiedza o człowieku...” (tamże, podkreślenia moje). Takie sformułowania

— których na wystawie jest wiele — budzić mogą poważne zastrzeżenia. Tak samo zamasytowanie uderzenia w średniowiecze en bloc nie noszą cech ostrożności naukowej i mogą nasuwać pytanie, przeciw jakim to potentatom jest owa zamasytowość wymierzona: czyżby średniowiecze aż tak było jeszcze groźne? Miało ono swoje karty chlubne obok ciemnych i niektóre karty wspaniałe — choćby rozwój filozofii tomistycznej, skwitowanej na pierwszej sali działu drugiego dwiema cytatami ze św. Tomasa, stwarzającymi sugestie, że ten wielki kontynuator Arystotelesa był myślicielem nader wątpliwej miary.

W zakończeniu tego skromnego omówienia chciałobyśmy parę słów bodaj poświęcić organizacji technicznej, szczególnie zasługującej na podkreślenie w dziale artystycznym, czyli trzecim dziale wystawy. Organizatorzy zadali sobie trud ścisłej dokumentacji z 70 przeszło instytucji i to takich, jak Biblioteka Narodowa i Uniwersytecka Pragi Czeskiej i Austriacka Biblioteka Narodowa — przy współudziale MSZ-u. W ogóle, troska o autentyzm przebiega z każdego zespołu, każdego stanowiska. Począwszy od dokumentów tej wagi,



Anna z Tęczyńskich Szydłowiecka — obraz Stanisława Samostrzelnika ok. 1530 r.

co pierwszy tekst konstytucji polskiej z r. 1534 i hiszpańskie tłumaczenie dzieła Frycza, a skończywszy na najdrobniejszym ornamentcie ścienne — wszystko jest oryginałem lub wierną kopią. Imponująca jest pomysłowość w udostępnieniu zwiedzającym historii: cudowne iluminaty kodeksu Bema na sali 34 i gradu Olbrachta na sali 36 będą stale odwracane tak, aby widz miał możliwość obejrzenia całości. W salach muzycznej odbywać się będą koncerty płytowe z nagrań muzyki staropolskiej. Godny podkreślenia jest również wysiłek aktualizacji czy uprzątnięcia tematu. Trzy przykłady: napis na sali jagiellońskiej, domagający się zwrotu arrasów, sala „kamiennarska”, przedostatnia sala wystawy, ukazująca stopień niszczenia materiału, a zatem — uwarunkowanie jego użyteczności, i wreszcie obraz Moellera z sali 39 ilustrujący odrodzeniowe metody budownictwa, wrsz z nieoczekiwanym szczegółem — trójkami murarskimi. Takie chwytły odgrywają doniosłą rolę wzmocnienia zainteresowania zwiedzającego.

Dlatego właśnie, że chwyt techniczny posiada tak wielkie znaczenie — chciałbym rzucić końcowe pytanie, czy celowe i zadowalające smaku widza jest zestawienie obrazu olejnego z fotografią z sal 33 i 35. Świąteczne fotografie Barbakanu, dziedzińca Kopernika, a nade wszystko pomników Bonnerów wykonane przez Państw. Zakłady Fotograficzne i Przedsiębiorstwo Fotograficzne Min. Kultury i Sztuki kontrastują chyba niekorzystnie z oryginałami Wita Stwosza czy Kulmbacha. Są to oczywiście detale. Wystawa jako całość jest wielkim osiągnięciem. Plastycznym i naukowym.

Uwagi tłumacza

(Dokończenie ze str. 7)

Kiem czy drobna zmiana słów do poprzedniego zdania i utrzymanie tą drogą ciągłość myśli.

Tyle o stylu: muszę już kończyć, aby nie przekroczyć wiazących mnie rozmiarów krótkiego artykułu. Tylko zatem jeszcze parę słów o odstępach, jakich się w stosunku do oryginału dopuściłem. Są to drobniaki, ale muszę się z nich oczyścić. — Otóż Schneiderowi, jak wielu nawet największym pisarzem, zdarzało się czasami nie tyle „przegadać”, co „przebrać”: w czasie pisania, w zapale tworzącym zdarzało mu się nie zwrócić uwagi na niegłębokość tego czy innego zwrotu, na niedokładność tej czy innej myśli, na jakis anachronizm lub po prostu na niejasność użytych słów. A zatem, na przykład, opowiadanie Bernardina o napadzie na szcep Indian gnieźdzący się na drzewach. Czytamy tam, że Bernardino rozkazał żołnierzom ścinać drzewo dźwigające dom wodza, a żołnierze natychmiast zaczęli walić toporami w pień. Jak dotąd wszystko w porządku: ale teraz oryginalny powiada: „Schon senkte sich ein Ast ins Wasser” — „już zwał się jeden konar w wodę” — nieprawda: Drzewa nie zaczyna ścinać się od konarów, a także i Bernardinowi nie o to chodziło: chciał on zwałić w wodę nie konary, lecz całe drzewo. Musiałem więc zmienić tekst, zwrócić zgodnie z dalszą jego treścią: „Już się drzewo zaczyna-

ło chwiać”. — Albo inne potknięcie się autora: anachronizm mieszający w sobie zarazem niedokładność. Jest to „Kloster der Barfüsserinnen”. „Barfüsserinnen” znaczy dosłownie „boso”, miało więc znaczyć chodzące boso. Otóż nigdy nie istniał żaden zakon, a tym samym klasztor zakonnic „Bosych”, natomiast u wielu zakonów ascetycznych, tak męskich, jak i żeńskich, reguła nakazywała chodzenie boso. W Polsce z zakonów żeńskich tego typu popularny jest zakon „Karmelitanek Bosych”. Zdawałoby się więc, że wystarczy sprawdzić, czy w „Kloster der Barfüsserinnen” Valladolíd klasztor Karmelitanek bosych, a w danym razie użyć w tłumaczeniu te nazwy. I cóż się okazało? — Owszem, w okresie naszej powieści istniał w Valladolíd klasztor Karmelitanek, ale obowiązek chodzenia boso wprowadziła w tym zakonie dopiero św. Teresa w r. 1560, a więc około 40 lat po przyjeździe na świat syna Bernardina. Aby zatem wybrnąć z sytuacji i nie powtarzać omyłki autora zbliżyć się jak najbardziej do jego myśli, musiałem ów „klasztor Bosych” zmienić w przekładzie na „klasztor Karmelitanek”, ale bez dodatku „bosych”.

Takie to bywają owe „lube troski” tłumacza, z których się tłumaczowi tak gęsto tłumaczyć wypada.

Jerzy Gawroński

Marian Radawiak

Jan ŻABIŃSKI

GAWĘDA PRZYRODNICZA

M U Z Y K A N C I

CHODZĄC przy końcu lata po Warszawie, szczególnie o zmierzchu i wieczorem, wszędzie tam, gdzie nie rozbrzmiewa turkot silników samochodowych i zgrzyt hałmów tramwajów, słyszeć można głośne ćwierkanie. Bo ja wiem zresztą, czy głośne? Takie jakies dzwone, niby to walenie, niby cichutkie, a jednocześnie wpaść to do ucha tak natężnie, tak jakoś zwraca na siebie uwagę, że dosłownie głuszy dźwięki dużo od siebie silniejsze.

No cóż, łatwo się domyślić, że mówię tu o tak zwanym „cykaniu“ czyli „śpiewie“ świerszcza.

Świerszcz domowy, pocziwy „świerszcz za kominem“ jest owadem pokrewnym konikom polnym, słowem należy do szarańczaków. Żadonowid on się zresztą w siedzibach ludzkich w przeciwieństwie do swego czarnego pobratymca, świerszcza polnego, który żyje w norkach na polach, łąkach i porębach, będąc zresztą takim samym wszystkocjadem jak świerszcz domowy. Zarówno bowiem bliska liścia, miękki owoc czy łulwa, jak i mięso owada, dżdżownicy czy kręgowca pafaszowane jest przezeń bez żadnej grymasów.

I on również głośno ćwierka na polu, jednak tam jego głos ginie wśród podobnych cykań koników polnych, odległego rechotu zab lub świergotu ptaków.

Natomiast tego rodzaju dźwięki w środku miasta budzą specjalną uwagę.

Jeszcze jedną ciekawą właściwość ma głos świerszcza domowego — oto słychać go niby tuż, tuż. Zdawałoby się, że na ślepo, tylko kierując się słuchem, zagarnie się ręką owada. Ale jeśli się tam zbliży z zapalką, świeczką czy żarówką... cykanie stychnie wyraźnie z tego kąta, gotowimy otórkim zakreślić, skąd wychodzi niby z głośnika. Tymczasem owada — ani śladu.

Właśnie dlatego rzecz jest taka dziwna, że deska jest gładka, równo przybita, żaonych szczelin ani dziur nie ma nawet na wsadzenie paznokcia, a świerszcz — trzeba wiedzieć — wcale znów takim maleństwem nie jest. Hodowałem go w swoim czasie przez lat parę, rozmnażałem, więc znam dobrze tego owada. Mam go w oczach, jak dopiero co wyszedłszy z jajka biega zabawnie i podsłakuje niby pchła (jednak nikt się nie pomyli, gdyż jest burzajnowożółty i przezabawnie rusza długimi czułkami), lub jak po paru miesiącach, kiedy odbywszy ostatnią linę, wychodzi ze starej skórki już jako dorosły owad, opatrzoną czterema skrzydłami. Ma wtedy około trzech centymetrów długości, a jeśli to jest samica, ciągnie wówczas za sobą jeszcze długi raz prawie tak długie ciemnotkłe pokładelko.

Jakże więc taki owad skryłby się przed naszymi oczyma w nie istniejącej dziurce, bo choć kolor ma nieco podobny do świeżo zabojcowanego drewna, to jednak gdyby siedział na powierzchni, zauważyłoby się go na pewno.

Rozwodzi się zresztą nad tym dla tego, iż w ogóle nie tylko świerszcza domowego, ale wszelkie owady odzwajają się jest dość trudno wytropić „na słuch“.

Byłem kiedyś na wyspach Dalmatyńskich i tam wieczorem wsłuchiwałem się we „wrzask“ cykad. Cykada to owad należący do pluskwiaków. Jednak jest to pluskwiak niespecjalnie szkodliwy, a rozmiarami dorównywał niemal naszej największej ćmie — trupiej główce. Otóż poszukiwałem tej wielkości owada po zarcłach i — choć to nie do uwierzenia — nie udało mi się go nie tylko złapać, ale nawet zobaczyć, chociaż zdawało się, że hałasuje tuż, tuż...

MOŻE to nieco wyjaśni pewną sprzeczność dość wyraźnie rzucającą się w oczy, a mianowicie, że wrzeszcząc tak „na całe gardło“ daje się przecieć znać o sobie wrogom. Tyle się opowiada o barwach ochronnych, o nieruchomieniu zwierząt — aby tylko ująć uwadze nieprzyjaciela, a tu ni stąd, ni zowąd krzyki i hałas, jakby się naumyślnie zaprzeczło: „proszę, oto tu jestem, może kto ma ochotę mnie zjeść“...

Jak widać jednak, owo „zaprzeczanie“ na pieczęcie z własnego nie ma jest dość umiędne, gdyż (choć trudno mi wyjaśnić, w jaki sposób to się robi) jednak naprawdę wydaje się, że głos owadów nigdy nie wychodzi z tego miejsca, w którym w danej chwili śpiewał siedzi, a zawsze jak gdyby się go słyszało gdzieś obok. Dopiero jeśli wrzeszcz wpadnie nam w oko siedzący owad, to pod kontrolą wzroku zaczynamy słyszeć śpiewa

ka rzeczywistość z tego miejsca, gdzie go widzimy.

No, ale skorośmy tyle już o tym śpiewie opowiedzieli, warto się zainteresować, skąd te dźwięki się biorą. Bo nie sądzę, abym miał przypominać, że tony wydawane przez zwierzę nie muszą wychodzić koniecznie z gardła. Toż przecie i klekotanie bocianów to nie ich głos właściwy, lecz uderzanie o siebie częściami dzioba. Żaden owad w ogóle nie mógłby wydawać dźwięku pyszczkiem, chyba jedynie chrząszcze szczękami przy gryzieniu, gdyż żaden z nich nie oddycha otworem ustnym, a co za tym idzie, nie byłby w stanie wydawać głosu tak jak my czy inne kręgowce, wydmuchując powietrze poprzez odpowiednio zwięzane i rozszerzane drogi oddechowe.

Toteż teraz przynajmniej się do tego, że pierwotny tytuł tego opowiadania „Śpiewacy wśród owadów“ musiałem zmienić jako niefortunny, bo właściwie to są „muzykanci“, tyle tylko, że swoje piosenki wygrywają potrafią nie na obcych instrumentach, lecz na własnych skrzydełkach i ośkach. I o tych sposobach właśnie chciałbym parę słów powiedzieć.

PRZĘDE wszystkim warto pamiętać, że wśród świerszczy ćwierkają tylko samce, one bowiem mają po temu odnośne urządzenia. Wygląda to następująco: przednie skrzydła, te nieco zgrubiałe, leżące, jak wiadomo, na wierzchu, posiadają tuż przy nasadzie pewne przystosowania. A mianowicie na lewym skrzydle uwypukła się twardy chitynowy kancik. Na prawym zaś jedną z żyłek... (bo przecie każdy chyba wie, chociażby z obserwacji muchy, iż przez błonki skrzydeł owadów przebiegają chitynowe żyłki, będące w rzeczywistości rurkami rozprowadzającymi powietrze) — otóż jedna z nich posiada wręby, ot zupełnie takie jak zęby na pile. Te nasady skrzydeł zachodzą na siebie tak, że przy każdym ruchu owa zębata piłka prawego skrzydła niby smyczek po strunach jeździ po owym kanciku lewego i w ten sposób wprawia je w drganie, udzielając się powietrzu — co słyszemy w postaci dźwięku.

Jednak takie skrzydeczki grałyby bardzo cichutko, gdyby na tym skrzydle ze struna, czyli z kancikiem, nie występowało jeszcze tak zwane „lusterko“. Nie służy ono do „przebiegania się“, jest to kawałek błonki skrzydła, bardzo cienkiej, za to silnie napiętej pomiędzy otaczającymi to pole żyłkami. Takie urządzenie stanowi prawdziwy rezonator, wielokrotnie potęgający dźwięk.

Samo przeciąganie owego „smyczka po strunie“, czyli tej piłeczki po krawędzi prawego skrzydła może odbywać się nawet dość wolno, ale mimo to przeskakując z małego zabka na zabek owo skrzydełko zostaje

w rezultacie wprowadzone w ruch drgający, tak szybki, że trudno go okiem uchwycić, gdyż drga jak skrzydło latającej muchy. Ta szybka wibracja przede wszystkim owej rezonansowej błonki udziela swych drgań powietrzu i jego fale, dobiegające do naszego ucha, dają nam w rezultacie wrażenia dźwięku. A że nie jest on zbyt słaby, o tym niech jeszcze zaświadczą specjalnie przeprowadzone badania, które wykazały, iż głos niektórych świerszczy rozchodzi się może ni mniej ni więcej, tylko na odległość siedmiu kilometrów.

Jakbym słyszał, iż czytelnikom ciężko się na usta pytanie: — Ale po co to? — Odpowiem za chwilę, chciałbym jednak, żeby nikt nie został pod wrażeniem, iż wszystkie owady w ten sam sposób głos wydają.

Otóż, jeśli chodzi o szarańczę, to tam zasada jest podobna, z tą tylko różnicą, że tak zwana ćwierkająca żyłka znajduje się normalnie na skrzydle, natomiast kancik, też opatrzone szeregiem zębów, mieści się na biodrach ostatniej, tej skaczącej, pary nóg.

W rezultacie — nie skrzydło trzęsie się o skrzydło, a nogi trą o skrzydła, co zresztą na jedno wychodzi.

U niektórych afrykańskich szarańczaków ta ostatnia para nóg w ogóle już nie służy ani do skakania, ani do chodzenia, lecz przekształca się na smyczek do wodzenia po skrzydłach.

Zupełnie inaczej rzecz jest urządzone u cykady, ponieważ zaś wspomnianem o tych wielkich latających pluskwach, zresztą do naszych obrzydliwych domowych pasyżów wcale niepodobnych, więc nadmienię tylko, że na odwłoku cykady — naturalnie tylko samca — znajdują się dwie tarczki, a pod nimi dość duże wgłębienia. W nich to tkwi elastyczna wypukła błona, połączona z dwoma mocnymi mięśniami. Przy skracaniu się mięśni błona wygina się i wydaje dźwięki — ot takie, jakie można wydobywać wgniatając denko puszkę od konserw. Że to maleńkie „denko“ cykady daje się słyszeć aż na kilka kilometrów, zawiązujemy temu, iż po obydwu stronach odwłoka, we wnętrzu ciała, znajdują się dwa potężne worki rezonatorowe, znakomicie zwiększające pogłos.

Przedstawimy Czytelnikom tych głównych śpiewaków, nie będę już ich zanudzał wiadomościami, że i w innych rzędach owadów, i u chrząszczy, i u mrówek, ba! nawet czasem u larw znajdują się organy dźwiękowe użytkowane przez nie, jednak dla nas ludzi o dużo mniejszej słyszalności.

WRACAMY więc do tego przed chwilą zupełnie zresztą słusznie postawionego pytania: a mianowicie

— do czego to służy owadom, jaki z tego mają pożytek? — Otóż przede wszystkim należałoby przypomnieć, że owady przeważnie rozporządzają również organami słuchowymi, a co za tym idzie, wydawane dźwięki mogą być odbierane i przyjmowane przez współtowarzyszy. Tu rzecz dotyczy przede wszystkim spraw rozmnażania.

Samiec śpiewa przywołując do siebie samice, która słysząc to wędruje ku niemu. Nie chciałbym, aby mnie kto posądził, że informując czytelników głosownie, to znaczy, że ponieważ stwierdzono wydawanie głosu przez samce i znaleziono organy słuchowe u owadów, to już zaraz wyprowadza się wniosek, iż samiczki biegają na dźwięk piosenki samczyków.

— Kiedy tak jest — powie niejednen z czytelników — Jeśli się ujrzy kiedy ćwierkającego samca, to nie minie i kwadrans, a już przykluśnie do niego jedna albo kilka samiczek, więc widocznie rozumieją, że je wywaja.

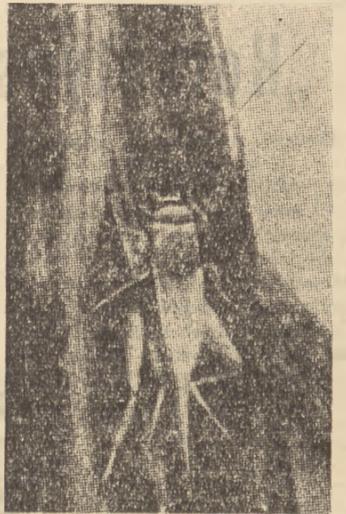
Przynajmniej, że to bardzo ładnie pamiętać swoje obserwacje, ale żeby z nich wyprowadzić poprawne wnioski, nie można tak od razu wypowiadać zdecydowanych twierdzeń. Przecież bardzo, ale skąd pewność, czy prócz dźwięków nie rozchodzi się wokół jakiś zapach? Gdyż na przykład właściwe zapachem samiczki mo tyli przywabiają do siebie samców, i to z odległości kilkudziesięciu kilometrów. Czy więc w danym przypadku można dać głowę, że to słuch, a nie na przykład węch przyciągał samiczki ku samczykowi? Uczni przyrodnicy są ostrożniejsi i nie wy powiadają ostatecznego zdania, zanim nie przerobią szeregu przekonujących doświadczeń. I właśnie o tych doświadczeniach chciałbym teraz opowiedzieć.

A zatem, grającego samczyka umieszczono w jednym pomieszczeniu, a samicekę o trzy pokoje dalej i gra nie samca nadawano jej przez telefon. Wtedy biegła ona natychmiast ku mikrofonowi, skąd dźwięk dochodził.

Podaję Czytelnikom, przynajmniej niektórych, że złapani przez mnie na zbyt pochopnym wnioskowaniu, obecnie zaczynają, jak to się mówi, „dmuchać na zimne“ i powiedzą mniej więcej tak:

— A kto może zaręczyć, czy ten zapach samca nie jest tak subtelny, że może przeniknąć przez parę pokoi?

Jeśli by ktoś tak postawił sprawę, to czuje, że chociażbym powiedział, iż samiczka była nie w innym pokoju, lecz w innym gmachu, w innym mieście, to zawsze można by z uporem powtarzać, że: „nuż tam zapach dochodzi“... Tylko, z tym chyba każdy się



Świerszcz polny — bohater opowiadania

zgodzi, że jeżeli by miał dochożyć za pach, to w każdym razie nie poprzez druty telefonu, a raczej od drzwi czy okna, a więc w tamtą stronę powinien się kierować szukająca męza świerszczyca.

Żeby jednak rozprościć i pod tym względem wszelkie wątpliwości, powiem, że i do głośnika radiowego lub nawet do gramofonu, odtwarzającego płytę z nagraniem głosu świerszcza, samiczki odwracają się i ruszają z zainteresowaniem czułkami. Gdy się przerwie im audycje — uspokajają się i wędrują w różne kąty pokoju; jeśli się ją wznowi — zainteresowanie i wędrowka ku aparatowi zaczyna się od nowa.

Nie ma więc wątpliwości, jaką rolę pełnią w danym przypadku owe serena dy owadzie. Badano zresztą również i zachowanie dwóch samców grających. Każdy zwrócił na pewno uwagę, że ćwierkanie odbywa się z rytmicznymi przerwami. Taki samczyk wydaje dźwięki przez pewien czas, aby później przerwać i po kilkudziesięciu sekundach znów powtórzyc swoją zwrotkę. Otóż jeżeli dwa śpiewające samce umieszcimy w pobliżu, to albo każdy z nich będzie hałasował na swoją rękę, albo też zaczną grać duet.

— Czy to możliwe?

A dlaczegożby nie? Co więcej, mogę zapewnić, że duety te mogą być w dodatku różnorodnych typów; uczeni wyróżnili ich aż cztery.

Jeden z nich — to kiedy obydwu samce grają dokładnie na przemian; drugi zaczyna dopiero w chwili, kiedy pierwszy kończy, pierwszy z kolei nie podejmuje gry, dopiero swej zwrotki nie wykona do końca drugi.

Odrębny typ duetu — to kiedy pierwszy zaczyna gęsto ćwierkając, a partner dopiero nieco później włącza się do śpiewu. Przez chwilę muzyka razem, a potem zaczyna się niby przerzucanie piłeczki, pojedyncze ćwierknięcia na przemian, to jeden, to drugi.

Trzeci typ jest mniej bogaty; po prostu jeden zaczyna, a drugi wpaada mu w ten. Grają razem, ten który wcześniej zaczął, wcześniej przestaje, wóbec czego duet kończy się solo.

Wreszcie czwarty typ — składa się wyłącznie jak gdyby z rozmowy. Na każde ćwierknięcie jednego z partnerów następuje ćwierknięcie drugiego, potem znów „mówi“ pierwszy... i tak może trwać bardzo długo.

Wszelkie wątpliwości, czy obydwu samce na wzajem się słyszą i dostosowują do partnera własny rytm melodii, wyłaczają następujące doświadczenie.

Dwa grające owady umieszczono — dajmy na to — wewnątrz tuby fonofonowej, osadzonych na podstawkach w ten sposób, iż można je było obracać dookoła osi pionowej. Okazało się, że tylko wtedy, kiedy oba wyloty kierowane są ku sobie, a więc obaj muzykanci słyszą się wzajemnie, występuje któryś z opisanych dotychczas zgranych duetów. Jeśli zaś obie tuby odwrócić całkowicie od siebie, albo odchylić na bok, jakkolwiek zgodność gry przepada i każdy z muzykantów rzepol swoją piosenkę bez żadnego względu na to, co robi drugi.

Nie ma czemu się dziwić, nie łatwo dostosować się do partnera, którego ani się widzi, ani słyszy. Toż nawet nie od biednego owada ale od najwspanialszego muzyka ludzkiego, obdarzonego nadzwyczajnym słuchem, trudno by wymagać takiej sztuki, aby grał akompaniament do melodii, która w ogóle nie dochodzi do jego uszu.

Jan Żabiński

Tryptyk o przyjacielach zwierząt

OT i znalazłem się w towarzystwie czcigodnych medyców. Bawili się rzeczami, o których nie śniło się filozofom. Ciele to szczęście, że pamięć przywiodła ku obronie tę przypowieść, inaczej jakże mizernie wyglądałoby moje horyzonty!

Nie śniło mi się przecieć o wielu faktach i sprawach, które składają się na tematykę (trzech*) książek dra Żabińskiego, znanego wszystkim z doskonałych przyrodniczych pogadankach radiowych — i z kilkunastu poprzednio ogłoszonych prac.

Mniemałem np. dotychczas, że w hodowli zwierząt — jeśli nie uczyniono już wszystkiego — to prawie wszystko... Tymczasem w trakcie lektury wyszło szydło z worka. Okazało się, iż tkwiłem na szarym końcu, wśród hodowców „zwierzęcin“, podczas gdy wyprzedzali nas wamie rolnicy, nie mówiąc o najbardziej postępowych w tym względzie ogrodnikach, śmiało wprowadzających do hodowli coraz to nowe odmiany roślin.

Pachnąwszy gawędy dra Żabińskiego w rekordowym czasie, postanowiłem wyjść w świat z transparentem („czytając!“!) — co też mniejszym czynię.

„Przekrój przez Zoo“ ze wszech miar godzi się zalecić bywałcom ogrodów zoologicznych. I tym, którzy przebywając w Zoo wynoszą zeń coś więcej ponad utrwalone w pamięci obrazy oglądanych zwierząt, i tym, których dotychczasowy stosunek do nie umiających się skarżyć wieźniów był — określimy łagodnie — zawstydzający nie na poziomie, jeśli wspomniemy nasz systematyczny tytuł: homo sapiens. (Żeby nie być gołosłownym: Byłem tego lata świadkiem — w łódzkim Zoo — jak przyjmieniaczek w kowbojskiej koszuli, chcąc lepiej obejrzeć zaszytego w kąt klatki lwa, począł go „łagać“ żelaznym hakiem. Kiedy spostrzegłszy dozorca ostro zareagował, część zgromadzonej przed klatką publiczności stanęła w obronie... owego faceta, gdyż „przecież nie się nie stało!“)

Przyjaciele czworonogów znajdując w omawianej publikacji — autor może się poszczycić — pierwszą w polskiej literaturze przyrodniczej historię ogrodów zoologicznych. Odkryte też zostaną przed czytelnikiem wielce interesujące kulisy powszedniego żywota Zoo, które z menażerii przekształciły się w wielkie „laboratoria“ doświadczalne o poważnym znaczeniu dla nauki.

O doświadczeniach przeprowadzanych przez fachowców,

którzy wytrwale i bez zgłosu pracują nad uzyskaniem „krzyżówek“ jeszcze bardziej przydatnych człowiekowi aniżeli nasz obecny „park“ zwierząt hodowlanych — do wiemy się sporo szczegółów z „Wielkiej rodziny“ I. Książka przyprawiona jest talami rodzajkami, jak np. wiadomości, że „przodkiem naszych zwierząt koprotnych było małe, pasiaste zwierzątko wielkości królika, chodzące na pięciopalczastych stopach“ (paradne, co?) lub że „krewniakiem tak nam wszystkim znanego konia jest nosorożec“ (ten nosacz! — nie można powiedzieć rogacz, gdyż „róg“ na jego nosie nie jest wcale rogami). Oczywiście — to nie wszystko, ponieważ rzecz jest „o dziejach i życiu przodków i krewniaków naszych zwierząt domowych“, przedstawia historię ich udomowienia, aklimatyzacji.

Na korzyść „Porozumienia ze zwierzęciem“ należy zapaść pozytywne dla czytelnika umieszczenie przed wstępem kilkudziesięciu wierszy informacji o samym autorze. Książeczka ta, żeby scharakteryzować ją w kilku słowach, wywraca świat do góry nogami. Ale bez obaw! Autor podważa bowiem nie ten świat, po którym depczemy w codziennym kieracie żywota, lecz wprowadza rewolucję do świata naszych poglądów na życie zwierząt przebywających na swobodzie i w niewoli. Wprowadziwszy zaś czytelnika w psychologię dzikusa — uczy, jak osłaniać ze zwierzęciem porozumienie — korzystne dla obu partnerów.

Z lektury wspomnianych książek odniosłem wrażenie, że stanowią one egzemplarze cennego rodzaju popularyzatorskiego, tak gdy idzie o treść, jak i jej urozmaicenie oraz podanie.

Zwłaszcza, że ze zwierzętami w naszym życiu mamy tak wiele do czynienia i spotykamy się z nimi na tak licznych odcinkach naszej gospodarki — pozwalam sobie postawić wniosek, aby właściwe czynniki zechciały zalecić chociażby „Porozumienie ze zwierzęciem“ młodzieży szkolnej jako lekturę obowiązkową w nauce przyrody.

Andrzej Krzyżanowski

* J. Żabiński, *Przekrój przez Zoo*, „Biblioteczka dla Każdego“, Wyd. „Wiedza Powszechna“, Warszawa 1953. Str. 267 + 89 ilust.

J. Żabiński, *Wielka rodzina*, „Wiedza Powszechna“, Warszawa 1953. Str. 231 + 136 ilust.

J. Żabiński, *Porozumienie ze zwierzęciem*, Spółdz. Wyd. „Czytelnik“, Warszawa 1953. Str. 142 + 71 ilust.

Andrzej ODNOWA

rys. Barbara JONSCHER

„Horsztyński” — jubileuszowa premiera w Teatrze Polskim

Powiedz, wahająca się myśli...

KAZDE wznowienie Słowackiego musi żywo poruszać dzisiejszego chrześcijańskiego widza. Słowacki to nie tylko nasz największy twórca dramatyczny. To zarazem jeden z najwybitniejszych przedstawicieli postępowej tradycji chrześcijańskiej naszej narodowej sztuki. Życie poety,

społecznej — uosabia ją nieznamy rewolucjonista z grupy Jasińskiego — oraz drugi, w duchu religijnym — jest to rozwiązanie ludzi z dworku Horsztyńskiego. W imię tych dwóch rozwiązań, węższego lub szerszego, toczy się w dramacie walka o duszę Szczęsnego.

„Poświęć się wielkiej sprawie, a urośniesz z wypadkami...” „niepotrze-

jeszcze jest on w jego akcji wewnętrznej.

Szczęsnego ciągnie coś do dworku Horsztyńskiego. Salomea? To raczej w niej budzi się uczucie do młodego hrabiego. Szczęsnego prześladowają myśli, które podsuwał mu w długich rozmowach Ojciec Prokop. Szczęsnego pociąga piękno moralne starego Horsztyńskiego. Lata powstania dramatu, to okres twórczego fermentu, który zwrócił poetę ku coraz piękniej i czystej odczuwanemu ideałowi moralno-religijnemu. W postaci Horsztyńskiego jako jednej z pierwszych krystalizuje się ten nowy wzór życia i odczuwania. Szczęsny widzi w niej to wszystko, co jest przeciwieństwem jego własnego egotyzmu i wewnętrznego skłócenia: pełną spokoju prostotę, zapomnienie o sobie, bezinteresowną, zdolną do wyrzeczeń miłość. Przyjęcie zdecydowanej postawy narodowo-społecznej, po stronie ludu, należy do pełni tego obrazu. Oczywiście i to przybiera przede wszystkim cechę czynu etycznego, staje się wyrazem szerszej pojętego dążenia ku religijno-moralnej sprawiedliwości, pełnieniem odczutej w sumieniu woli Boga.

Lech do religijnego, a poprzez religijne — społecznego nawrócenia — główny bohater Słowackiego jeszcze w tym dramacie nie dojrzał. „Bóg się nie miesza do wypadków światowych” — mówi Szczęsny, jak prawdziwy wyznawca deizmu, nieodrodny syn epoki Oświecenia. O. Prokop wyjaśniał mu transcendentny charakter ludzkiej egzystencji. „Postanowiłem dążyć do tej wielkości — wyznaje Księdzu — nareszcie znudziło mnie napięcie niezgrabne przyrodzonych władz — przerabianie ciągle nicości na wielkość olbrzyma”. Szczęsny nie pojął prawdy o twórczej sile chrześcijańskiej pokory. Dumny, będącej „duszą duszy mojej”, nie umiał użyć ku dobremu celowi, ani pojęciem naturalnie, ani w sposób nadprzyrodzony. Pozostał też obcy samemu sobie i bliźnim, obcy i niepotrzebny społeczeństwu.

Taka poszerzona interpretacja wahań Szczęsnego wyjaśnia, jak się zdaje, pełniej sens dramatu. Widzimy w nim, jak bohater cofa się jeszcze przed rewolucją, lecz zarazem jak cofa się i przed przyjęciem religijnego sensu świata. Wkrótce już jednak ten właśnie sens religijny utwierdzać będzie bohaterów Słowackiego w przyjmowaniu aż do końca rewolucjo-nizmu (ducha i historii) jako zasady rozwojowej wszelkiej stworzonej przez Boga rzeczywistości. Niewykończony zaś Horsztyński urywa się znanieciem wejściem Księdza...

NAJNOWSZE opracowanie dramatyczne Leona Kruczkowskiego i (reżysera) Edmunda Wiercińskiego, podobnie jak i sama inscenizacja Horsztyńskiego w obchodzącym swe 40-lecie Teatrze Polskim, nie ujawniły zainteresowania powyższą, trochę niedomówioną i urwaną przez Słowackiego stronę problematyki, ukazały przede wszystkim nurt społeczny dramatu. Opracowanie cechuje dyskrecja i pietyzm wobec tekstu Słowackiego. Na uzupełniające wstawki — z reguły króciutkie — składają się jedynie słowa powtórzone lub przeniesione z innych miejsc dramatu albo też z pierwszej redakcji. Natomiast jedyny długi fragment z tej redakcji: scena I aktu III, pozwalającą wzbogacić obraz IX spektaklu całymi ustępami wielkiej piękności, ujawniła zarazem — przez sposób jego włączenia w ostateczny tekst Słowackiego — pewną tendencję inscenizacji, która wespół z niektórymi ujęciami reżyserkim i dodanym Epilogiem zasługuje na szersze omówienie.

Kombinując z właściwym tekstem Słowackiego większość tekstu zarzu-

czonej przez poetę pierwszej redakcji, dramaturgowie nie tylko przywrócili w odświeżeniu obraz ostatnich już zapewne chwil Horsztyńskiego; równocześnie przestawili w pewien sposób samą rolę konfederata. Opuszczając mianowicie w rozmowie z „Edwinem” (Szczęsnym) słowa „Horsztyńskiego” o toporze katą i spadających głowach, dramaturgowie rozwinięli motyw samobójczego zamiaru starca. W tekście właściwym pojawia się on bardzo krótko i dyskretnie (Osterwa usunął go kiedyś całkowicie z przedstawienia); tu — przywrócono in extenso scenę z Świętoszem, wręczeniem arszeniku itp. Pogłębiłoby w ten sposób akcenty rezygnacji, osłabiono w ogóle rolę postaci. Czy słuszną była ta linia inscenizacyjna? Wydaje się — że nie, i to z dwóch względów.

Najpierw ze względu na intencję samego poety. Słowacki hodował, jak wiemy i z Fantazji, dość osobliwym poglądom na sprawy honoru, a również i na prawo jednostki do rozporządzania w pełni swym życiem. To prawda. W pojęciu jednak poety Horsztyński nie ulega — załamany — swemu losowi, lecz zwycięsko go dopełnia zdobywając się na przebaczenie żonie i dobrowolnie się usuwając. Słowacki do końca nie odbiera Horsztyńskiemu jego wybitnej roli w dramacie, roli pozytywnego przeciwieństwa Szczęsnego. Na wet jego zamiar samobójczy, obiektywnie zły, w ujęciu Słowackiego — subiektywnie jest wyrazem miłości. „Niechaj (inni) szukają szczęścia w meszczęściu drugich... Trzeba czynić, jak Jezus Chrystus nakazał”. W obliczu tego konfliktu między obiektywnym wartościowaniem etycznym a subiektywną intencją samego poety i jego postaci — zadanie reżysera było trudne; należało jednak poszukać reżyserskiego rozwiązania, które by w pewnym sensie czyniło zadość obu tym postawom.

Należało go poszukać z drugiego jeszcze, zasadniczego względu. Chodzi mi o pewien ogólny aspekt ideowo-artystyczny wszelkiego widowiska scenicznego. Całość przedstawienia Horsztyńskiego w Teatrze Polskim, nawet przy jego wysokim poziomie, posłużyć tu może jako przykład dość symptomatyczny.

Obserwując wiele wznowień w naszym współczesnym teatrze widzimy, że inscenizatorzy na ogół podchodzą do ludzi i problematyki ideowej ukazywanych w dziełach klasyków z



Zygmunt Chmielewski jako Trombonista

ogromnym (w zasadzie chlubnym), krytycznym rygiorem. Często jednak posuwają go tak daleko, że ofiarą bezkrotnego rewizjonizmu padają bez wyjątku wszystkie postacie sztuki, pozytywnym zaś bohaterem pozostaje najwyżej nie pojawiający się na scenie lud. Śmiano się tuż po wojnie z przeprowadzonego w Szczecinie „Sądu nad Przeprowadzką” Rostworowskiego. W podobny w gruncie rzeczy sposób wiele inscenizacji zmienia utwór artystyczny — mający kształcić i wzruszać, kształcić

wzruszając — w rodzaj sądowej rozprawy. Czyni się zadość jakiejś na pozór absolutnej, ponadczasowej, a naprawdę — mimo wszystko — dzisiejszej ocenie społeczno-historycznej, pozostawia się zaś niedosyt artystyczny wzruszenia i etycznej podniety. Poza wszystkim — jest to chyba i zła interpretacja postulowanego słusznie socjalistycznego optymizmu. Jeśli można dopatrzeć się jakiegos braku w świetnej zresztą inscenizacji Teatru Jubilat, to byłoby to brak w rodzaju wyżej opisanym. Pomniejszeniu uległy nawet nieliczne istniejące w utworze postacie pozytywne. I tu więc powtarza się z konieczności historia z ludem, który dramaturgowie wywołują w Epilogu przed zamkiem Kossakowskich, aby wraz z Poetą, strofami Odpowiedzi na Psalm przyszłości, wzmacniał osłabioną hiperkrytycyzmem wymowę dramatu. Koncepcja takiego Epilogu mogła niewątpliwie być nęcąca, lecz czy była słuszną? Nawet nie tyle ze względu na różnicę historycznego etapu 1794 — 1846. Strofy Epilogu — wbrew inscenizacji — odczuwamy jako zwrócone do Szczęsnego, lecz liberyn Szczęsny, to przecież nie fideista i konserwatysta Krasiński. Odmienne jest sytuacja ideowa dramatu i Odpowiedzi, łączącej już wyraźnie rewolucjonizm z mistyką. Można zresztą różnicę tę częściowo zatrzeć dobór fragmentów Odpowiedzi; przy tym jednak wykonaniu zbiorowej sceny Epilogu, jakie ujrzeliśmy na premierze (brała w nim udział młodzież aktorska) — wykonaniu wznawiającym tradycję złego symbolistycznego patosu — nawet lepszą, bardziej wyrazistą inscenizacją zakończenia spektaklu musiała chybić celu.

ZASADNICZA cecha opracowania i inscenizacji: brak równowagi elementów krytycznych oraz wzruszeniowych i budujących — odbiła się dość wyraźnie w szczegółach wykonania aktorskiego. Weźmy dwie główne postaci spektaklu — w obu zresztą zademonstrowano wysoką rangę gry aktorskiej — Szczęsnego i Horsztyńskiego.

Czesław Wollejo połączył w swej roli Szczęsnego intelektualną błyskotliwość salonowca epoki Oświecenia z estetyzującym-neurastenicznym romantyzmem. Może nie zawsze podobał swej roli głosowo, zagrał jednak po pisowo i efektownie w każdym calu. Szczególnie interesująco umiał ukazać zdeprawowaną inteligencję Szczęsnego, jego czułość Narcyza w mieniącej się z okrucieństwem egotyście. Był ten Szczęsny na pewno nadmiernie już zbławzowany i znudzony, za mało żył życiem realnym, za mało wyobraźnią — dziś nawet Hamleta pojmujemy i gramy inaczej. (Bardziej realistycznie ujął podobno swą rolę Jan Kreczmar). Przy tym wszystkim Szczęsny Wollejo nie zdrzął prawie nigdy bardziej szczerym wzruszeniem, w swym dialogu, często bardzo poetyckim, poety zował raczej; odpychał, niemal zupełnie nie budził współczucia. I to chyba nie było słuszne. Jeśli Horsztyński jest tragedią, jak uzasadnia to w programie Wiktor Hahn, powinien też budzić uczucie właściwe tragedii, m.in. przynajmniej w pewnym stopniu tragiczne współczucie dla wartości, która ginie, choćby nawet ginęła z winy własnej. Pod tym względem Szczęsny w łódzkim, sprzed dwóch lat wykonaniu Tadeusza Minca — przy całej różnicy klasy aktorskiej i mimo za mało krytycznego ujęcia postaci — budził przez cień więcej ludzkiego uczucia.

Karol Adwentowicz (Horsztyński), powitany przez warszawską publiczność brawami przy podniesieniu kurtyny, stworzył postać bardzo odczuta, w której wewnętrzna dzielność i duma dawnego konfederata



Halina Mikołajska w roli Amelii

które sam nazwał „poematem dla Boga”, było upartym dążeniem ku etycznej czystości — wbrew wszelkim obciążeniom stwarzanym przez ducha czasu i własną psychiczną konstrukcję. Jego twórczość zaś, w najwyższym stopniu krytyczna i wzniosła zarazem, to śmiała i jedyne w swoim rodzaju połączenie religijności z ideą ludowładztwa. Rewolucjonizm — stawiający na lud i na wieczny postęp drogą nieustannych przemian — u-zykskiwał w tej poezji ostateczne potwierdzenie w mistycznym „Bóg tak chce”.

W niewykończonym Horsztyńskim z 1835 r. Słowacki nie znalazł jeszcze formuły tego ścisłego połączenia. Oba nurty, rewolucyjny i religijny, płyną tu oddzielnie, raz po raz jednak przybliżając się coraz wyraźniej ku sobie. Horsztyński oznacza dzięki temu ważny etap w ewolucji światopoglądowej Słowackiego.

Choć czytu na literacką stawę poeta nie zdołał ukończyć i wydać Horsztyńskiego i choć prócz brakującego zakończenia jest w nim szereg innych luk, warto wystawić to dzieło. Nie tylko dla jego sceniczności i piękna dialogów; nie tylko dla ciekawego momentu historycznego: powstania Jasińskiego w Wilnie, które utwór oświetla; czy dla dokonywanej na tym tle wnikliwej analizy klasowo-społecznej uwarunkowań postawy magnackiego syna, Szczęsnego. W Horsztyńskim Słowacki kontynuuje problem Kordiana, problem „niepotrzebności”, główny problem swego życia i twórczości. Stawia jeszcze raz pytanie o cel życia i działania, o to, jak odnaleźć utraconą więź z współludźmi, ze społeczeństwem. „Orszak ogromnych wypadków... jak się weń wmieścić? Czym być?” „Nie widzę żadnej drogi przed sobą... Co robić? Powiedz, wahająca się myśli...”

Dramat ukazuje dwa warianty odpowiedzi: jeden w płaszczyźnie czysto

bni są przeciwko nam” — Nieznajemy mówi do Szczęsnego twardą mową praw historii i socjologicznych determinantów. Lecz temu naturalnemu społecznemu rozwiązaniu przeciwstawia się w Szczęsnym równie naturalne poczucie przynależności rodowej i arystokratyczna pogarda dla plebejskiego tłumu.

W tym samym w gruncie rzeczy kierunku, co Nieznajomy — może tylko z silniejszym podkreśleniem motywacji narodowej aniżeli społecznej — oddziałują na Szczęsnego Ojciec Prokop i Horsztyński. Rola tych dwóch postaci jest w dramacie ważniejsza, niż się ostatnio utarło o tym sądzić. O. Prokop, pierwowzór późniejszych ludowych kapłanów Słowackiego, z żywą sympatią śledzi poruszenia wileńskiego ludu, coraz nowo podejmuje ten temat w rozmowach ze starym konfederatem. I Horsztyński nie jest bynajmniej tak bardzo bierny i zrezygnowany. W nie wykorzystanym w inscenizacji fragmencie pierwszej redakcji ujawnia on nieprzejednany stosunek wobec zła społecznego: Zdrajce... póki tyle głów z ich pokolenia pod toporem katy nie spadnie, ile rubli wzięli z kasy moskiewskiej, to kraj nie ożyje... Ale i w właściwej akcji dramatu, kiedy Hetman-targowiczanie zbiera „silną partię”, Horsztyński reaguje z wielką czujnością i na pewno nie tylko z nienawiści osobistej: „Czas, książę, użyć tych papierów” — ma na myśli posiadane dokumenty zdrady Hetmana. Nie ustępując przed jego groźbami, nawet w obliczu zupełnego zrujnowania i perspektywy żebractwa, ślepy starzec (z pomocą O. Prokopa) rzuca papiery na szalę wileńskich wypadków. W dramacie to one właśnie popchną lud do powieszenia zdrajcy. Lecz to jest dopiero — dość decydujący, jak widzimy — udział ludzi z dworku w akcji zewnętrznej dramatu. Ważniejszy

przesilała się z tonami rezygnacji złamanego starca. W scenie z Hetmanem (J. Leszczyński) obydwaj nieco przesadnie rozciągali słowa w duchu dawnej polskiej szkoły aktorskiej, za to w końcowych partiach swej roli Adwentowicz wydobyl — może jeden jedyny w przedstawieniu obok Baraszewskiej-Salomei — przepiękne momenty prawdziwej poezji. Ta przejmująca zagrana postać budziła współczucie, choć było to — dzięki ustawieniu reżyserskiemu — współczucie dla człowieka zlanego, który przestał być nieugięty i wierzący. Mimo to stała się wy-

cepcją swego epizodu, *Zdzisław Lubelski*. Z innych ról wzruszający był *Świętosz Edwarda Szupelak-Glińskiego*; bardzo poprawny i trochę ni-jaki O. Prokop *Julana Składanka*; dobry tym razem i głosowo, bardzo romantyczny spiskowiec *Władysława Huńczy*.

Dekoracje *Teresy Roszkowskiej* od powiadały bogactwu, rozmachowi, barwności szekspirowsko-romantycznej sceny; *Słowackiego*, może jedynie rozwiazanie sufidów wydawać się mogło nieco manieryczne. Świetne były również kostiumy, zwłaszcza Hetmana oraz mieszane, polsko-



Horsztyński w wyk. Karola Adwentowicza

bitnym osiągnięciem znakomitego artysty.

Romantycznym rezmachem, lecz za razem i wyrazistym w szczegółach rysunkiem, uderzała rola Hetmana w opracowaniu *Jezego Leszczyńskiego*. Leszczyński, doskonale zwłaszcza w ruchu i geście, stworzył postać wyżu tego z częci i sumienia sprzedawczyka, o masce i mimice jakby celowo przejawskrawionej.

Z ról komedycznych najpiękniejszą stworzyła *Elżbieta Barszczeruska* jako Salomea. Ogromny szlachetny wdzięk i liryzm gry tej artystki jeszcze raz święciły triumf. Świetnie wypadły również momenty *torte* roli. Nawet bardziej współczesne ujęcie postaci nie zaszkodziło tej kreacji. *Halina Mikołajewska* popadła w rolę *Amelii* w pewną stylizację sentymen-talną. Utalentowana artystka zdaje się nie wychodzić ostatnio poza wła-sciwy sobie rodzaj wdzięku; tu stał się on jeszcze bardziej wagi, prze-chodząc w za mało przemyślaną in-telektualnie słodycz. Wydaje się, że mało też było w *Mikołajskiej* z córki magnata, *Jadwiiga Swirium* w roli *Maryny* pragnęła zapewne stworzyć typ dziewczęcia wiejskiego podglądu jącego gust pałacowy: to połączenie prymitywu i sztuczności n.e wypadło jednak w grze szczęśliwie.

Powiedzmy sobie szczerze, że przedstawieniu brak było jednolitego stylu gry aktorskiej. Obok ujęć realistycznych trafiały się i romantyczno-koturkowe, nie zabrakło i groteski. W tym właśnie duchu bardzo żywo wypadły w przedstawieniu sceny z *Karlem (Henryk Matkowski)*. *Storką (Aleksander Dzwonkowski)* i *Trombonistą (Zygmunt Chmielewski)* *Wspaniale*, z nerwem zagrano scenę zbiorową ze szlachtą, wśród której — obok bardzo dobrego *Ksińskiego (Alfred Łodziński)*, *Wywika (Kazimierz Dejunowicz)* i *Skowicza (Tadeusz Woźniak)* wybił się tempera-mentem, lecz i przemyślaną kon-

francuskie stroje *Szczęsnego*, wśród których był i czarny, hamletowski. Bardzo piękna, zwłaszcza w scenie żniwnej, oparta tu na starych, chyba jeszcze renesansowych motywach, muzyka *Witolda Lutostawskiego*.

Cały zespół Teatru-Jubilata dał w przedstawieniu poważny wkład pracy i ambicji, nie można zapomnieć nawet o efektach dźwiękowych, np. bar-dzo romantyczny efekt wycia wilków wypadł b. sugestywnie. W całości wi-dowiska szczególnie wysoka wydaje się zasługa inwencji reżyserskiej *Edmunda Wiercińskiego*. Przejawiła się ona w wielu scenach solowych i — zwłaszcza — w wielkiej scenie zbiorowej. Reżyseria znakomicie roz-wiazała ten wykazujący największą lukę tekstu zespołowy obraz (XII). Rozwiązała w ten sposób, że wypadł on w najwyższym stopniu przekonująco. W całości spektakl był naprawdę godny wielkiego jubileuszu.

To, czego brakowało może świet-nemu przedstawieniu, co sprawiło, że z całości widowiska wynosiło się jednak wrażenie pewnego niedosytu — wynika z winy pewnej ogólniej-szej tendencji ideowo-artystycznej, z którą zresztą tu i ówdzie zaczyna się już powoli zrywać. Przed dwoma laty krytyka i oficjalne czynniki artystyczne z przesadną surowością potraktowały ustawienie reżyserskie przedstawienia *Łódzkiego Horsztyń-skiego*. Dziś reżyser wyciągnął wnio-ski z krytyki, i co się okazało? Po-stacie, rozstrzygające o wrażeniu spektaklu, osądzone zostały ściśle według moralnego paragrafu i za-sad historycznej typowości, lecz ogólny efekt artystyczno-ideowy przed-stawienia bynajmniej na tym nie zyskał. Przedstawienie stało się czę-sto znakomitą w wykonaniu, bardzo sumienną, bardzo wierną ilustracją pewnych typowych spraw społeczno-historycznych, ale też i niewiele po-nadto. Lecz w sztuce często właśnie to „ponadto“ decyduje.

Stanisław URSTEIN

Refleksje pokonkursowe

D NIA 28 października br. zakończył się starannie urządzo-ny przez Min. Kultury i Sztuki wraz z CZOFIM-em drug: ogólnopolski konkurs śpiewaczy. Koncert laureatów, połączone z rozdaniem nagród, był jego finałem, a jednocześnie — pod sumowaniem prac tak organiza-cyjnych, jak i artystycznych.

W przeciwieństwie do konkursów międzynarodowych, jak chopinow-skie lub ostatnio skrzypcowy im. H. Wieniawskiego, ogólnopolskiemu konkursowi śpiewaczemu z reguły towarzyszy mniejsze zainteresowanie, objawiające się tak ilością a raczej jakością zgłoszeń, jak oddźwiękiem w opinii publicznej. Wprawdzie należy stwierdzić, że i na tym odcinku, w porównaniu z ubiegłym konkursem sprzed dwóch lat, nastąpiła znaczna poprawa, ale analiza ostatniej impre-zy, zawarta w sprawozdaniu przewod-niczącego jury, prof. Wiktora Bregy, nasuwa szereg wątpliwości — przede wszystkim natury organiza-cyjnej.

Pobieżny przegląd ilości zgłoszeń w poszczególnych konkurencjach (A-amatorów, U-uczących się i Z-zawodowców) daje dużo do myślenia. Zgłosiło się 45 amatorów, 55 śpiewa-ków zawodowych i 181 uczniów. Co to oznacza? Po pierwsze — niedo-stateczną propagandę idei konkursu wśród amatorów, brak zainteresowa-nia się tą ważną akcją przez tereno-we referaty Kultury i organizacje społeczne, a co za tym idzie — myśl podstawowa: rekrutacja talentów (a jest ich w ukryciu na pewno bar-dzo wiele) pali na panewce.

Po drugie: absentowanie się kadr zawodowych — jest niewątpliwie zna-czące. Potwierdza, że idea konkursu w tej formie jest wśród nich niepopularna. Należałoby zastanowić się poważnie nad przyczyną tego stanu rzeczy.

Jak mi skądinąd wiadomo, poważnym motywem absentacji bardziej znanych artystów od ogólnopolskich konkursów jest, z jednej strony — obawa postawienia swych do-tychczasowych osiągnięć na jedną kartę, co jest zresztą całkowicie nies-luszne; z drugiej zaś strony — u-ważają oni mieszanie amatorów, u-uczniów i zawodowców w ramach je-dnej imprezy za niewskazane.

Czy mają rację? Kto wie. To punkt do dyskusji. Jedno jest pewne — zestawianie tych trzech kategorii, mimowolne porównywanie (a bez tego się nie obejdzia) jest poważnym ryzykiem tak dla jury, jak i dla uczestników, i od strony organizacyjnej niewątpliwie powinno być poważ-nie przemyślane tak w rozkładzie przesłuchowań, jak i w wyma-ganiach repertuarowych.

Oparając się więc na wyżej poda-ny zestawienie cyfrowym, konkurs stał się właściwie przeglądem kadr uczniowskich. Osiągnięcia i braki, wynotowane skrupulatnie przez grono poważnych fachowców, staną się punktem wyjścia dla czynników decydu-jących przy wysnuwaniu właściwych wniosków o stanie polskiej wokali-styki — jak zapewnił wiceminister Kultury i Sztuki, Wilczek, i prof. Bregy. Z tego punktu widzenia cel został osiągnięty; z punktu widzenia ogólnokrajowego, na odcinku amato-rów i zawodowców — konkurs egzaminu nie zdał. I nad tym nie można przejść do porządku dzien-nego, tak samo jak i nad zbyt nikłymi echemi w prasie, która wyraźnie idee i koncepcji konkursu nie doceniła. Pi-sząc powyższe uwagi mam nadzieję, że wywołają one pewne echa — że wypowiedzą się na ten temat zarówno organizatorzy, jak i artyści i że na-stępny konkurs wychodząc poza ra-my zainteresowań tych samych 700 do 800 ludzi ze świata śpiewaczego, którzy przewijali się jako słuchacze przez salę Ministerstwa Kultury i Sztuki, stanie się ważnym wydarze-niem kulturalnym w życiu całego narodu, tak jak na to w pełni zasie-guje.

P RZYSTĄPMY z kolei do o-mówienia samego koncertu. Piszący te słowa z braku czasu nie miał, niestety, możliwości obserwo-wania przebiegu konkursu, toteż musi ograniczyć się do omówienia nagrodzonych kandydatów. Obser-wującemu śpiewających uczniów i zawodowców nasuwają się dwa czo-łowe zagadnienia: emisji głosu i po-ziomu muzycznym. Otóż w koncer-cie dnia 28-go października dało się zauważyć przesunięcie ciężaru za-INTERESOWAN PEDAGOGÓW I WYKONA-WCÓW NA STRONĘ MUZYCZNO-INTERPRE-TATORSKĄ. Jest to cennym zjawiskiem, gdy zważy się, że do smutnej tra-dycji polskiej wokalistyki należał wyłącznie popis wokalny, a sprawa przysłowiowego już „górnego C“ u-rastała do najwyższego znaczenia,

usuwając samą muzykę na dalszy, nieważny plan. Niemniej jednak ideałem jest przecież połączenie emisji, a więc techniki, zmięśnią śpiewu ze stroną interpretatorską — i z tego punktu widzenia sprawa nie przedstawia się najlepiej. Niejednokrotnie interpretacja gó-rwała nad stroną emisji wokalne, jakby chciała pewnym nie zawsze udanymi chwytami pokryć jej braki. Rzuci się również w oczy, że u kilkunastu wysłuchanych osób sposób prowadzenia głosu jest cakowicie odmienny (bez względu na lep-szy czy gorszy efekt), co oznacza, że czeka nas jeszcze daleka do prze-bycia droga, której celem jest u-zgodnienie i ustalenie jakiejś w za-rzysach chociaż uwidocznionej pol-skiej metodyki nauczania śpiewu.

W grupie amatorów mamy do za-notowania dwa odrębne zjawiska. Pierwsza nagroda przypada w u-dziale pani Ottman-Stein — operu-jacej ładnym, niezłe prowadzonym sopranem. Powinna z niej „wyros-nać“ dobra pieśniarka, jeśli przy-szli opiekunowie nauczą ją trud-nych arkanów śpiewu i... pozna-nowania dla śpiewanego utworu (do-wolności u Moniuszki i Żeleńskiego nie są, moim zdaniem, dopuszczalne nawet u amatora). Tenor Pawłus (druga nagroda grupy amatorskiej) to fenomenalny materiał głosowy. Mu-si on jednak pamiętać, że przed nim długa, długa droga. Można do niego, wraz z życzeniem kariery i za chęcią do dalszej pracy, zastosować znane powiedzonko, że „nie wystar-czy mieć Bechsteina, trzeba jeszcze umieć na nim grać“ — nie wystar-czy umieć grać, trzeba umieć ładnie i muzykalnie grać“. Mam jednak nadzieję, że za kilka lat polska kul-tura muzyczna mieć będzie z Paw-lusa prawdziwą pociechę.

W grupie uczniów moim zdaniem wyróżniła się bezspornie zdobyw-czyni drugiej nagrody ob. Roman-ska. To urodzona kameralistka *Znakomicie* (chyba jedyna) prowa-dzony głos, doskonałe wyczucie sty-lu, wrodzona duża muzykalność — oto jej niewątpliwe zalety. Przy-puszczam, że uplasowanie jej na dru-gim, a nie na pierwszym miejscu jest wynikiem ograniczonych wy-łącznie do estrady możliwości artyst-ki. Ale jednocześnie chciałbym podkreślić, że żaden poważny muzyk nie będzie stawiał śpiewaczki wy-łącznie kameralnej na niższym niż inne szczeblu, a rozwój tego typu koncertów w Polsce stwarzać będzie coraz większe na ten rodzaj arty-styczny zapotrzebowanie.

Dwie pierwsze nagrody przypadły mezzo sopranom, *Zyliš* i *Michel*. Pierwsza z nich jest już dzisiaj dobrą śpiewaczką. Ma ładny, ciepły głos, jest muzykalna i dalszą, sumienna praca może wiele osiągnąć. *Michel* ma przobogaty głos oraz niewątpli-

wy nerw artystyczny. Jej poważne jeszcze braki emisyjne nie są w stanie zaciemnić ogólnego pozytyw-nego wrażenia. Życzyc jej można w tej chwili tylko wytrwałości w pra-cy, a wyniki nie dadzą na siebie czekać.

Ciekawie prezentuje się bas *Pilek*. — średnica jego jest już całkowi-cie wyrównana, toteż braki w gór-nych, a przede wszystkim dolnych rejestrach są do usunięcia. Bas ba-ryton *Klimek* nie pokazał swoich pełnych możliwości wokalnych. Cały swój popis oparł na interpretacji, która w monologu *Borysa* była do przesady historyczna, bez proporcji niezbytłych na estradzie, więc w sumie nieprzekonywająca. Młody arty-sta winien poważnie zastanowić się nad tym zagadnieniem. Zewnętrzne efekty prowadzą w konsekwencji tyl-ko do manieri i często zaprzeczają muzyce. Podstawa jest spi w — w je-go ramach i przy jego pomocy nale-ży przekazać słuchaczowi głębię swe-go odczucia.

Wybaczą mi pozostali laureaci — studenci, że nie omawiam ich wszyst-kich, ale staram się ograniczyć do zjawisk specyficznych, a nie powta-rzać tych samych sformułowań. Do-dać mogę tylko, że poza zaszczyt-cem, podkreślonymi przeze mnie, od-chyleniami w dobrą czy złą stronę — poziom był na ogół wyrównany.

Wśród zawodowców spotkaliśmy dobrych znajomych. Znamienny jest fakt, że pierwsza nagroda nie zosta-ła w ogóle przyznana. Równorzędne dwie drugie otrzymali: tenor *Jerzy Kobza* (występujący w objawdowej operze *Artosu*) i *Kazimierz Walter* — bas artysta Opery Warszawskiej. Rozwój *Kobzy* obserwuję od kilku lat i stwierdzam, że ostatnio poczynił on ogromne postępy wokalne. *Pięta Achillesa* jest jeszcze u niego stroną interpretacyjną, którą arty-sta komicznie winien pogłębić, tym bardziej, że — jak się wydaje — stać go na to *Kazimierz Walter* ma ładny, ciepły głos, niezłe prowadzo-ny. Robi wrażenie, że ma przed so-bą jeszcze poważne możliwości roz-wojowe. Zdobycy nagrody trzeciej (*Szybowski* i *Marchut*) nie wnieśli nic nowego do ogólnego obrazu ca-łości.

Kończąc swoje uwagi o Konkursie : koncercie Laureatów proszę wszyst-kich uczestników, aby wybaczyli mi niejednokrotnie zbyt ostre sformułowania w ich ocenie — czynię to bo-wiem nie ze złośliwości, ani też z braku zrozumienia ich sytuacji, ale tylko po to, by wytknąć im te błędy i niedociągnięcia, które w moim zro-zumieniu stoją na przeszkodzie ich rozwojowi i kariery. Poza tym życzę im wszystkim wytrwałości w pracy i jak najlepszych osiągnięć na dro-dze upowszechniania kultury muzycz-nej w naszym kraju

ANDRZEJ PIOTROWSKI

Fiolet wrzosów najbliższy rękóm,
oddech traw przychyłony ustóm,
most obejmuje miękko
nurt co na chwilę usnął,
niebo obłoki marszczą
przed zachodu powodzią.
Łęku ode mnie starsz
gdzieś mi się zapodział?

ASTRONOM

Obłok zapala włosy
anteny cichych modlitw
wchodzę spojrzeniem bosym
w planet celowy odlot,
zamykam w tętno powiek
lotu zielone cienie.
Jakże oczyma opowieć
Boga, ruch sfer i ziemę?

PODRÓŻ

„Podróż cisz ... ku troim oczom“ — P. Eluard

Od twoich oczu do moich
podróż milczenia pełna
błękitnym niepokojem
trudną odległość spełnia.

Białe senajor ręki
lnię podróży skończy
i wtedy wejdę miękko
oczyma w twoje oczy.

Kilka słów o:

—filmie

NOWE RADZIECKIE WYTWORNIŁE FILMOWE

Wielka wytwórnia filmowa o zdolności produkcji 40-tu kolorowych pełnometrażowych filmów zostanie zbudowana w ciągu roku w Moskwie na Wzgórzach Leninowskich, w pobliżu nowego Uniwersytetu Moskiewskiego.

W 1954 roku zostaną zakończone projekty budowy trzech nowych ośrodków filmowych — w Mińsku, Baku i Rydze.

POLSKI FILM OTRZYMAŁ ZŁOTY MEDAL NA KONKURSIE W BRUKSELI

Jury Międzynarodowego Konkursu filmu turystycznego i folklorystycznego przyznało złoty medal filmowi polskiemu

„Domek z Kart“ według sztuki E. Zegadłowicza granej w Teatrze Współczesnym w Warszawie w reżyserii E. Axera. Niebawem też ujrzymy film „Płatka z ulicy Barskiej“, który jest adaptacją powieści Kazimierza Koźmiewskiego (reżyseria A. Forda).

Również zakończono już realizację pierwszego polskiego filmu barwnego „Przygoda na Mariensztacie“, który w najbliższym czasie wchodzi na nasze ekrany.

teatrze

TEATR LALEK DLA DOROSŁYCH

Przy Domu Wojska Polskiego powstał pierwszy w Polsce Ludowej satyryczny Teatr Lalek dla dorosłych, pod nazwą „Satyra“. Teatr zainaugurował swą działalność w Warszawie wido-

torzy poświęcili rok czasu na dokładne przestudiowanie całej twórczości wielkiego pisarza i ducha jego epoki oraz inscenizacji utworów Maupassanta we Francji. Maupassant cieszy się w Związku Radzieckim dużym powodzeniem; dzieła jego ukazały się w nakładzie blisko 5 milionów egzemplarzy.

Plastyce

III OGÓLNOPOLSKA WYSTAWA FOTOGRAFIKI

Na zamku w Olsztynie otwarta została 3 ogólnopolska wystawa fotografii. Wystawa zawiera około 200 prac reprezentujących najnowszą dorobek naszych czołowych artystów fotografików.

PLENUM ZARZĄDU GŁÓWNEGO ZW. PLASTYKÓW POLSKICH

Od 30 do 31 października trwały obrady Plenum Zarządu Głównego Zw. Plastyków Polskich. Głównym tematem obrad były sprawy związane z twórczością plastyków i ściślej szym jej powiązaniem z życiem (współpraca z architekturą i przemysłem), sprawa szkolenia i awansu artystycznego, sprawa zatrudniania absolwentów szkół plastycznych, problem kontaktów plastyków z instytucjami i odbiorcami. Omówiono też szczegółowo zagadnienie wystaw organizowanych z okazji X-lecia Polski Ludowej, w szczególności IV Ogólnopolskiej Wystawy Plastyki, której szeroki wachlarz tematyczny obrazować ma przemiany, jakie zaszły w naszym życiu w okresie 10-lecia.

III SALON SZTUKI RELIGIJNEJ

W Muzeum Miasta Paryża otwarta ostatnio III Salon Sztuki Religijnej. Jak się wyraził organizator tej imprezy Joseph Pichard, salon ma na celu nie tyle ukazanie jakichś wyjątkowych arcydzieł, ile raczej przedstawienie wszystkich uściwionych dzieł sztuki, które mogłyby zdobić francuskie ko-

ścioły. Że założenie to przyjęto jako wytyczną, świadczy ogromna różnorodność wystawy. Wszystkie dziedziny sztuki religijnej: malarstwo, rzeźba, architektura oraz zdobnictwo przedmiotów liturgicznych są tu bogato reprezentowane.

Za najwspanialsze dzieło Salonu jednogłośnie uznano rzeźbę Marcela Gili, przedstawiającą Chrystusa na krzyżu. Wielką uwagę zwracających wzbudzają także plany i makieły nowożytnych kościołów wykonane przez młodych architektów oraz wspaniałe witraże Jean Barilleta i Maxa Ingrandy.

WYSTAWA MATEJKOWSKA W LENINGRADZIE

Dla uczczenia 60 rocznicy śmierci Jana Matejki otwarto w Leningradzie w salach Instytutu Malarstwa Akademii Sztuk Pięknych ZSRR wystawę dzieł tego wybitnego polskiego malarza. Na wystawie zgromadzono m. in. reprodukcje dzieł Matejki: „Bitwa pod Grunwaldem“, „Kazanie Skargi“, „Unia Lubelska“, „Kopernik“.

TWÓRCZOŚĆ PLASTYCZNA DZIECI

Centralna wystawa twórczości plastycznej dzieci otwarta została w salach Leningradzkiego Związku Radzieckich Artystów-Malarzy. Wystawa zawiera ponad 600 rysunków, rzeźb i innych prac wykonanych przez dzieci. Głównym ich tematem jest: walka o pokój, praca ludzka oraz szczęśliwe dzieciństwo młodego pokolenia radzieckiego.

Wszystkim

WIELKI FESTIWAL AMATORSKICH ZESPÓŁÓW ARTYSTYCZNYCH

W związku ze zbliżającym się obchodem 10-lecia Polski Ludowej, Ministerstwo Kultury i Sztuki wspólnie z wszystkimi organizacjami masowymi oraz szkolnictwem ogłasza wielki festiwal amatorskich zespołów artystycznych. Festiwal ten, który będzie jedną z głównych imprez kulturalno-artystycznych Roku Jubileuszowego, ma być

bileuszowego, ma za zadanie zaprezentowanie bogatego dorobku masowego ruchu amatorskiego. Wielki festiwal, który zakończony zostanie centralnym pokazem w dniu 22 lipca 1954 r., posiadać będzie jednolity program i obejmie wszystkie środowiska, instytucje i organizacje masowe.

BAZAR KSIĄŻKOWY W PARYŻU

24 października staraniem Narodowego Komitetu Pisarzy Francji otwarto na terenie bazaru księgarskiego Bazar Książkowy. Bazar ten ma być już swoją tradycją — stał się jakby dorocznym przeglądem postępowej literatury francuskiej. W roku obecnym wśród najnowszych pozycji wydawniczych uwagę zwracamy m. in.: powieść André Stilla „Paryż z nami“, rozpoczynająca trylogię pt. „Pierwszy szturm“, książki poświęcone wojnie w Wietnamie i walce narodu wietnamskiego o wolność i niezawisłość, jak: „Czarna rzeka“ — Pierre Courtade'a „Ostatni nabój“ — Jean Chavroła.

Prasa francuska przepowiada duże powodzenie dziennikom z podróży Claude Roy „Klucz do Chin“ oraz powieści Pierre Gamarra „Rosalie Bruss“.

Oprócz wyżej wymienionych autorów na bazarze znalazły się nazwiska tej miary, co: Louis Aragon, Claude Morgan, E. Triolet, D. Desanti i in.

CZŁOWIEK JASKINIOWY

W słynnym domu „Człowieka z Pekinu“ w Czulokun, miłośnicy wystawy cennych wykopalisk zwierząt i zabytków kultury ludzkiej z epoki człowieka jaskiniowego. Wystawa ta zorganizowana została pod protektoratem Chińskiej Akademii Nauk. Ekspozycja podzielona są na trzy działy. W pierwszym umieszczono narzędzia i ozdoby z kamienia i kości. W drugim dziale przedstawione są skamieliny zwierząt oswojonych przez człowieka jaskiniowego. W ostatnim dziale szczerki innych ciekawych i nie spotykanych już gatunków zwierząt żyjących w tym okresie.

ALBUM

KAPLICY ZYGMUNTOWSKIEJ

NIEDAWNO (bo mniej więcej pięć miesięcy temu) rozpoczęta przez P.I.W. seria wydawnicza pod nazwą „Klejnoty Sztuki polskiej“ doczekała się już trzeciego tomu. Ukazanie się pierwszego z nich, pt. „Drzwi Gnieźnieńskie“ sygnalizowali naszym Czytelnikom (nr 27); następny, pt. „Głowy Wawelskie“, rozehwytany w księgarniach zanim jeden choćby egzemplarz sporego nakładu trafił na biurko redakcyjne — musi jeszcze zacząć na omówienie; ostatni — poświęcony jest Kaplicy Zygmuntońskiej na Wawelu).

Autor książki — Adam Bochnak — w swym bardzo ciekawym studium przedstawia zwięzły zarys historii budowy oraz dzieje wyposażenia wnętrza tego królewskiego mauzoleum. W sposób przekonywający udowadnia, że dzisiejszy zabytek sztuki — mimo cech Renesansu włoskiego — jest dziełem najzupełniej oryginalnym, dostosowanym formą i proporcjami do warunków miejscowych. Twórcą modelu kaplicy, jak również i jej dekoracji rzeźbiarskiej — Bartolomeo Berrecci, architekt i rzeźbiarz z okolic Florencji — miał niełatwe zadanie: budowlę wznosił na miejscu jednej z gotyckich kaplic katedry, wielkość więc i kształt budowli, a także wysokość mauzole-

um były mu nieludnie narzucone. Artysta rozwiązał te trudności w sposób, który dotąd świadczy o jego ogromnym talencie; stworzył dzieło zachwycające harmonijnością. Potrafił w dodatku wprowadzić elementy architektoniczne nie stosowane we Włoszech, a potrzebne w Polsce (jak np. duże okna, dające dobre oświetlenie).

Silnie akcentując oryginalność Kaplicy Zygmuntońskiej, podkreśla zarazem Bochnak to wszystko, co jest w niej typowe dla sztuki renesansowej, co jest przewidywalnym konwencjonalizmem średniowiecznych. Mimo, że przewidziana jako mauzoleum — kaplica staje się pochwałą i afirmacją doczesności, żaden szczegół nie przypomina o śmierci; fantastyczne — a jednak realistyczne w formie — ornamenty roślinne, zwierzęce i ludzkie są swobodne i pełne życia; sam autor dzieła nie chce być zapomniany; u szczytu kopuły można wyczytać imię Berrecci'ego.

Studium Bochnaka przynosi tak też informacje dotyczące autorstwa oraz czasu powstania zespołu rzeźb figuralnych zdobyczą Kaplicy Zygmuntońskiej i wnioskujemy te rzeźby charakteryzuje. — Znajdujemy tu poza tym nowe wiadomości o kilku zabytkach nie z dziedziny architektury i dekoracji rzeźbiarskiej).

Bogatym uzupełnieniem robótwy Bochnaka jest kilkadziesiąt fotografii, które dają doskonałą możliwość wglądu w dekorację szczegółów Kaplicy Zygmuntońskiej. Większość (udanych) zdjęć wykonał Rudolf Kozłowski. — Nasuwa się tylko drobne zastrzeżenie: mimo iż mamy ilustracje poszczególnych ścian — trudno zdecydowanie wyobrazić sobie ogólny wygląd kaplicy. Fotografia nie zawsze wystarcza. Może przydałby się schematyczny rysunek przekroju podłużnego i poprzecznego — ułatwiłoby to „naoczne“ przekonanie się o wspaniałości proporcji kaplicy opisywanej przez Adama Bochnaka.

„Kaplica Zygmuntońska“ — jedna więcej na naszym rynku księgarskim pozycja związana z Rokiem Odrodzenia — ma się wkrótce doczekać nowego krewnika: wśród zapowiedzi wydawniczych serii „Klejnoty Sztuki polskiej“ odnajdujemy z radością „Renesansowy Zamek Wawelski“ w opracowaniu Jęzgo Szablowskiego. (b)

1) „Kaplica Zygmuntońska“ napisał Adam Bochnak, P.I.W. 1953, s. 26 + 6 ilbr., 84 tablice ilustracyjne.

2) W artykule K. Koźmiałskiego „Kaplica Zygmuntońska w Kaplicy Wawelskiej“ (D. i J. nr 43) podano wiadomość, że ołtarz z r. 1538 mieszczący się we wschodniej wnęce kaplicy jest projektem Hansa Dürera. Oświadczenie cytujemy za A. Bochnakiem: „Ołtarz ten jest dziełem zbliżonym kilku artystów. Ołtarz wyszły spod ręki Jerzego Penczyńskiego, zaś wykuł złotnik Melchior Bayer posługując się tablicami odlanymi podług rzeźby w drzewie będącej dziełem Piotra Fötnera. Artysty ci pozostawali pod wpływem najwybitniejszego malarza Norwimbergtvch czasów — Albrechta Dürera“ (s. 25).



Wit Stwos — Głowa apostoła

„Ołtarz Wita Stwosa“. Nagroda ta ufundowana została przez Międzynarodowy Komitet Kinematografii Wychowawczej i Kulturalnej dla najlepszego filmu o tendencjach kulturalnych. W konkursie uczestniczyło 21 krajów. Zgłoszono 73 filmy. Konkurs zakończył się 31 ub. m. „Ołtarz Wita Stwosa“ został wyświetlony obok trzech innych nagrodzonych filmów — kanadyjskiego, francuskiego i belgijskiego.

PROJEKTY FRANCUSKICH REALIZATORÓW FILMOWYCH

Marcel Carné, którego film „Teresa Raquin“ odniósł wielki sukces na Festiwalu Filmowym w Wenecji, przygotowuje obecnie — wraz ze scenarzystą Jacques Viot — swój nowy film, który będzie nosił tytuł „L'air de Paris“ i którego akcja toczy się w środowisku bokserów. W głównych rolach wystąpią Jean Gabin i Arletty. Yves Allegret kreśli obecnie nową wersję słynnej operetki H. Meilhac i A. Mithaud „Mam'zelle Nitouche“. Fernand będzie głównym aktorem tego filmu, żadna jednak rola kobieca nie została jeszcze obsadzona. Allegret zamierza następnie filmować sztukę autorstwa „Soli ziemi“, Georges Arnaud, noszącą tytuł „Les aveux les plus doux“ (Najśrodsze zwierzenia).

Julien Duvivier w listopadzie rozpoczyna nakręcanie filmu „L'affair Maurizius“ według powieści Jakuba Wassermana, „prawdziwej tragedii klasycznej“, jak ją nazwał realizator. W rolach wystąpią Madeleine Robinson, Daniel Gelin, Rossi Brago, a być może i Pierre-Michel Beck.

TRZY NOWE FILMY POLSKIE

Została ukończona realizacja pierwszego w Polsce pełnometrażowego przedstawienia teatralnego. Już wkrótce bowiem wejdzie na nasze ekrany

wiskiem polityczno-satyrycznym pt. „Cyrk Coca-cola“, którego autorami a zarazem reżyserami są J. Cichocka i J. Kulma.

SUKCES MAUPASSANTA

Wielkim artystycznym sukcesem Teatru Satyry w Moskwie jest przedstawienie „Pana Durcy“ Maupassanta. Realiza-

Jeżeli zapytacie, czy to w Krakowie, czy we Wrocławiu, Lublinie, czy w Szczecinie, a nawet w małych miasteczkach i wsiach, co to jest Muranów, Mirów lub Mariensztat — niemal wszyscy z zapytanych odpowiedzą Wam: „Wiemy, wiemy — osiedla mieszkaniowe w Warszawie!“

Warszawskie osiedla — swymi jasnymi blokami, przestronnością i zielenią na zawsze eliminujące ponurą wspomnienie „trzeciej oficy“ i podwórka-studni przedwojennej czynszówki — są dobrze znane i popularnie nie tylko w Warszawie. Synonimami nowoczesnego, socjalistycznego budownictwa mieszkaniowego stały się nazwy osiedli: Mariensztat, Mokotów, Młynów, Mirów, Ochota, Koło, Praga, Grochów, Muranów, Bielany.

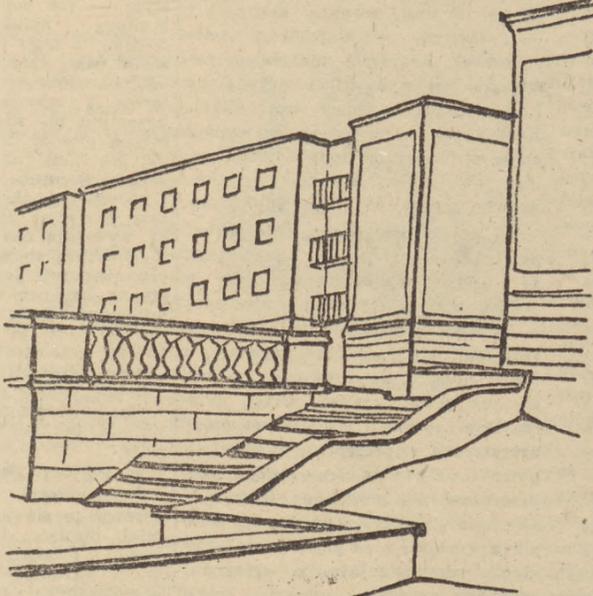
Nie wymieniliśmy tu wszystkich zespołów mieszkaniowych stolicy; jest ich — wraz z tymi, których realizację nie dawno rozpoczęto — już dwadzieścia osiem. Dziś chcemy parę słów powiedzieć właśnie nowopowstającym najmłodszym osiedlom Warszawy. Są to osiedla: Sielec — obliczone na około 6500 mieszkańców w Mokotów-Raclawicka — na około 15.000 mieszkańców (po pełnej rozbudowie).

W słońcu pogodnej tegorocznej jesieni czerwienią już pierwsze dachy osiedla Sielec ograniczonego ulicami: Belwederską, Chełmską, Zakrzewską i Nowoprojektowaną. W jednym z bloków mieszczą już lokatorzy, następny zostanie wkrótce oddany do użytku, inne podciągnięte już pod dach, tak, że jeszcze tej jesieni zostaną one zamieszkałe. Osiedle ma charakter zaciszny, wybitnie mieszkaniowy, czemu sprzyja usytuowanie go na uboczu od ruchliwych arterii komunikacyjnych, mimo położenia w pobliżu centrum miasta. 90% łącznej kubatury osiedla wynoszącej ok. 350 tys. m³ przeznaczono na mieszkania, pozostałe 10% zajmą sklepy, punkty usługowe i inne lokale użyteczności publicznej. Specjalnie troskliwie zaprojektowana została architektura osiedla Sielec ze względu na urozmaiconą rzeźbę terenu i bogate tło zieleni pobliskiego parku belwederskiego i Łazienek. W projektach oparto się na tradycyjnej architekturze narodowej, kształtując według nich ogólną bryłę budynków i ich detal architektoniczny.

Realizację projektów osiedla Mokotów-Raclawicka rozpoczęto we wrześniu, tradycyjnym miesiącu Budowy Warszawy. Powstanie ono na 20-hektarowym obszarze między Alejami Niepodległości i Puławską oraz ulicami: Wiktorską i Ursynowską. Główna arteria komunikacyjna, tworząca zarazem oś kompozycyjną osiedla, będzie poszerzona i obustronnie prze-

Warszawa rośnie

dłużona ulica Raclawicka. W osiedlu, oprócz bloków mieszkalnych o kubaturze około 642 tys. m³, przewiduje się budowę szkoły podstawowej, 2 żłobków, 3 przedszkoli, wreszcie — około 40 sklepów i różnego rodzaju punktów usługowych. Z ogólnej powierzchni terenu osiedla zielenie i kwietniki zaj-



mą trzecią część — 6,5 hektara. Od ich tła pięknie odbijać będą szlachetne tynki elewacji budynków o dachach krytych dachówką ceramiczną.

Sądząc według projektów obu osiedli i według już zrealizowanych obiektów osiedla Sielec — możemy być pewni, że Warszawa otrzyma wkrótce racjonalnie rozplanowane i urządzone, naprawdę piękne zespoły mieszkaniowe. (WS)